MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 13 WARSZAWA, 31 MARCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

O STOSUNEK DO ARMJI

HOŁD, składany pamięci marszałka Focha przez narody, które on wiódł do zwycięstwa, w duszach miljonów rozżarzyć musiał na nowo wspomnienie tak niedawno dopiero przeżytych, a tak dzisiaj już od nas odległych lat heroizmu. Mimowoli myśl nawrócić musiała ku czasom, gdy pod wpływem instynktu narodowego, jednostki najbardziej przeciętne, których powszednie bytowanie zamykało się całkowicie w ciasnym kręgu małostkowych kłopotów i zabiegów, nagle, z dnia na dzień, wznosiły się na najwyższe szczyty poświęcenia, zapominając o wszystkiem, co do wczoraj stanowiło w ich pojęciu jedyny sens ich istnienia. Mimowoli nasuwały się refleksje na temat niewyczerpanego zasobu sił moralnych, jakie w ciężkiej próbie wojennej wydobyły z siebie narody, rozważania o wielkości i chwale żołnierskiego zawodu.

Przypomnienie rzeczywistej treści największego w dziejach doświadczenia psychologicznego, jakiem była wojna światowa, w okresie obecnym szczególnie staje się ważne i potrzebne. Po ogromnem napięciu uczuć patrjotycznych, bohaterstwa, ofiary, nastąpiło powszechne odprężenie, tęsknota do osobistego użycia, a te czynniki, które—zorganizowane i niezorganizowane — określić można, jako świat „umysłowości masońskiej", nie szczędzą nakładów i trudu, ażeby z przeżyć i doświadczeń wojennych usunąć wszystko, co było w nich wielkie, twórcze, krzepiące, ażeby myśl o nich zespolić jedynie z obrazami nędzy i spustoszenia. Nigdy chyba nie była słuszniejsza, niż dzisiaj, uwaga Vauvenargues'a o pacyfiście, co „używając na miękkich siedzeniach w przyjemnym pokoju, piorunuje na żołnierza, który noce zimowe przepędza nad brzegiem rzeki i z bronią w ręku czuwa w milczeniu nad bezpieczeństwem ojczyzny". Byle agent międzynarodowy na paneuropejskich bankietach, „szaleństwem", „wybuchem bezmyślnej nienawiści" nazywa bohaterskie zmagania, w których nieprzeliczone rzesze świadomie, dobrowolnie oddawały życie swoje w imię dóbr od życia cenniejszych. Wszechświatową reklamę mają na swoje usługi beletryści, którzy rzekomą „prawdę okopów" przedstawiają w ten sposób, jakoby zbydlęciały żołnierz walczył zupełnie bezmyślnie, mordował mechanicznie, niezdolny wogóle ogarnąć świadomością czegokolwiek, poza fizycznym głodem, zmęczeniem, pragnieniem odpoczynku.

Wśród potoków pacyfistycznej frazeologji, kiedy nawet w oficjalnych oświadczeniach mężów stanu k a ż d a wojna określana zostaje jako zbrodnia, następować musi moralna degradacja armji w społeczeństwach, niezrozumienie jej stanowiska i przeznaczenia, niedocenienia jej najwyższych, najistotniejszych zadań w życiu zbiorowem. Jakąż zresztą musi stać się pozycja żołnierza w epoce, kiedy międzynarodowi przedstawiciele „wielkich finansów" czują się w prawie w publicznych odezwach zwracać się do narodów z pouczeniem, że granice pomiędzy poszczególnemi państwami powinny być wykreślane w zależności od interesów „handlu międzynarodowego"?

Jeżeli mowa o obniżaniu stanowiska armji, o degradacji jej pod wpływem „umysłowości masońskiej", to nie chodzi tutaj oczywiście o materjalne potrzeby oficerów i żołnierzy, które z różnych chwilowych względów politycznych mogą nawet być zaspokajane pieczołowicie. Chodzi o zaspokojenie potrzeb moralnych, o stworzenie w wojsku i dokoła wojska czystej, orzeźwiającej atmosfery: tej nie zdolni są nawet odczuć ludzie, obcy narodowemu sposobowi myślenia, bo przez służbę narodowi jedynie, przez gotowość poświęcenia życia jednostki w imię wiecznego życia „istności moralnej"—narodu, rzemiosło żołnierskie nabiera całej swojej wielkości i chwały. Dlatego również (i to właśnie jest druga strona tego samego za-

gadnienia) ludzie obcy narodowemu poglądowi na świat z tak lekkiem sercem decydują się w imię doraźnych korzyści narażać armję na najcięższe kryzysy moralne, stawiać żołnierza wobec konfliktu z honorem i ze złożoną przysięgą, nadużywać munduru wojskowego dla przedsięwzięć, które go poniżają i plamią.

Zaś specjalnie w Polsce wpływ czynników, które dzisiaj w świecie całym działają w kierunku osłabienia stanowiska armji i podkopania najgłębszych, moralnych fundamentów jej istnienia, napotyka pod wieloma względami warunki dogodne. Długoletnia niewola uczyniła z nas w znacznym stopniu społeczeństwo „cywilne", nie dosyć wrażliwe, nie reagujące dostatecznie silnie, odruchowo, jeżeli chodzi o obronę interesów wojska, zwłaszcza jego interesów moralnych. Czasy przed utratą niepodległości przekazały ponadto niebezpieczną tradycję buntów wojskowych, rokoszów, przedewszystkiem zaś tradycję armij prywatnych, tworzonych i utrzymywanych przez możnowładców i pozwalających im prowadzić politykę własnych zachceń, narzucać państwu swoją własną wolę czy samowolę lub się z jego wolą nie liczyć. Czyż dziś jeszcze nie odzywają się jakby echa tych czasów w pojęciach, że żołnierz ginie dla zrobienia „prezentu" wodzowi, że wódz sam stoi ponad Państwem i ponad prawem?

I dlatego w Polsce kwestja zapewnienia armji należnego stanowiska w społeczeństwie, otoczenia jej atmosferą moralną, gwarantującą najzdrowszy i najwszechstronniejszy jej rozwój, staje się szczególnie pilna i doniosła. Nie wytworzy tej atmosfery „umysłowość masońska", pacyfistyczna, z natury swojej obca armji i jej duchowym potrzebom, wyrosła z psychiki wręcz przeciwstawnej tym wszystkim pojęciom, umiłowaniom i dążeniom, które muszą znamionować dobrego żołnierza. Nie wytworzy jej też uważanie armji niejako za dodatek do wodza, za jego własność: zagadnienie stosunku do dowódcy samo w sobie zbyt ubogie jest w treść wewnętrzną, ażeby mogło wyczerpywać całokształt potrzeb duchowych żołnierza, stanowić samo pokarm dostatecznie krzepiący i odżywczy dla jego poczucia honoru. Siłą istotną, która w dniach próby wojennej pociąga wojsko do wielkich, bohaterskich czynów i poświęceń, jest potęga instynktu narodowego. To też tylko idea narodowa, która ten instynkt właśnie uznaje za swoje uzasadnienie i podstawę, nie ma w swym stosunku do wojska sprzeczności wewnętrznej, może dać i społeczeństwu i armji samej należyte uświadomienie treści najistotniejszej, rzeczywistej godności i wielkości służby żołnierskiej.

JAN REMBIELIŃSKI

FOCH

NAZWISKO Focha znajdzie swoje miejsce na kartach dziejów Polski.

Odzyskaliśmy byt państwowy dlatego, iż mimo rozbiorów i niewoli nie przestaliśmy istnieć jako naród, że pokolenia za pokoleniami pracowały nad tem i walczyły o to, by zachować samodzielność uczuć i myśli, by nie dać zginąć duchowi narodowemu. Lecz odbudowanie państwa polskiego stało się możliwe dzięki temu, iż wybuchła wielka wojna europejska i że po czterech latach jej trwania państwa centralne, prowadzone przez Niemcy, poniosły klęskę na polu walki.

Śmierć Focha przypomina nam te prawdy, które niezatartemi zgłoskami powinny być zapisane w świadomości współczesnego i przyszłych pokoleń polskich.

*

Polska powstała z wojny, wśród szczęku oręża, gdy śmierć obfite czyniła żniwo. Powtórzyło się raz jeszcze to, co bywało zawsze od początku świata i co będzie po koniec świata — że rzeczy wielkie rodzą się z krwi przelanej ofiarnie. Prawdę tę powinniśmy sobie dobrze zapamiętać i przekazać przyszłym pokoleniom. Niemasz bowiem dziś większego niebezpieczeństwa dla Polski, niż zapanowanie w umysłach jej dzieci przeświadczenia, że skończyły się wojny na ziemi i że nie będą już potrzebne ofiary krwawe na rzecz utrzymania i rozszerzenia ojczyzny. Kto ma oczy otwarte na to, co się wokoło dzieje, ten widzi, że nie zmienił się człowiek i nie zmieniły stosunki między ludźmi i że te tylko narody utrzymają swą samodzielność i zachowają wolność, które będą gotowe do okupienia tych dóbr życiem swych obywateli. I rzeczy te nie są nawet tak odległe, jak się wielu ludziom zdaje. Można już dziś wskazać na dojrzewające konflikty, można już nieomal obliczyć przeciąg czasu, który nas od nich dzieli. Obłudne hasła pacyfizmu podcinają w sercach i umysłach te czynniki, które w chwili zmagań się narodów rozstrzygają o ich bycie i niebycie. Geografja i historja Polski ukazują, że jej równiny były i zawsze będą jednem z miejsc, na których decydują się losy Europy. Wielka wojna lat 1914 — 1918 nie dała nam pola do roli czynnej. W wojnie przyszłej będziemy czynnikiem samodzielnym i ważnym, a mimo rozwoju środków i narzędzi mechanicznych i technicznych rozstrzygnie o jej wyniku, jak rozstrzygał zawsze dotychczas — duch walczących. Przygotowując się do obrony całości Ojczyzny, kształćmy i ćwiczmy przedewszystkiem ducha młodych pokoleń i uczmy je modlić się słowami Mickiewicza „O broń i orły narodowe" i „O śmierć szczęśliwą na polu bitwy". W szeregu zaś żołnierzy dobrej sprawy, żołnierzy o duchu rycerskim, stać będzie po wsze czasy postać zwycięscy z wielkiej wojny 1914 — 1918 — marszałka Focha.

*

Klęska Niemiec sprawiła, że powstało państwo polskie. Ten tragiczny związek między losami dwóch narodów ciągnie się od samego zarania ich wejścia na arenę dziejową. W walkach pierwszych królów polskich z Niemcami powstała Polska. Usadowienie się Krzyżaków na prawym brzegu Wisły, nad Bałtykiem, dopuszczonych tam przez krótkowzrocznego — lekkomyślnego księcia Mazowieckiego, nadało zatargowi polsko-niemieckiemu ten obraz i ten wyraz, jaki ma obecnie. W biegu dziejów przechyla się szala powodzeń to na jedną to na drugą stronę. Uparta i mądra obrona ujścia Wisły przez Świętopełka i jego następców, opanowanie Gdańska, a potem Pomorza przez Krzyżaków; Grunwald, pokój Toruński, słabość zgodze-

nia się na hołd pruski, wytrwała polityka Hohenzollernów zakończona pierwszym rozbiorem, zaślepienie prowadzące do umowy polsko-pruskiej w r. 1791, nowe rozbiory Polski, zwycięstwo armij sprzymierzonych pod dowództwem Focha, traktat Wersalski... Nie łudźmy się, tragedja nie jest skończona, mamy przed sobą dalsze jej akty. W oczach naszych odbudowywuje się potęga Niemiec, a przywódcy narodu niemieckiego nie ukrywają swych zamiarów. Nie łudźmy się też, że pergaminy zdołają powstrzymać koło historji i zabezpieczą nas od wszelkich niebezpieczeństw. Piersią własną będzie musiał naród polski osłaniać Górny Śląsk i Pomorze, krwią serdeczną okupić swą całość i swe niezależne istnienie. Przykłady i nauki dane nam przez Focha i walczących pod jego rozkazami żołnierzy są i powinny być żywe przed oczyma naszemi, bo wypadnie nam z tych nauk i przykładów korzystać.

*

Polityka zaborcza Niemiec załamała się na polu walki. Warunki umożliwiające odbudowę państwa polskiego wytworzyli żołnierze walczący pod rozkazami Focha. Jest on tedy i pozostanie dla nas symbolem żołnierza armij sprzymierzonych, żołnierza, który krwią okupił zwycięstwo. Nie zapomnimy nigdy, że ramię przy ramieniu walczyli Anglicy, Francuzi, Włosi i tyle innych narodów i że z ich krwi ofiarnej powstała Polska. Żołnierze państw sprzymierzonych szli z pewnością na linję bojową z myślą o swoich krajach i o swych bliskich; lecz ze zbiorowego wysiłku i ze zbiorowej ofiary wyniknął lepszy i sprawiedliwszy układ polityczny w Europie. Szereg narodów zyskał w wyniku tej wojny niepodległość i zjednoczenie, może ona być nazwaną wojną o wolność ludów. To też pośród tych ludów, które wolność odzyskały, pozostanie po wieczne czasy cześć i wdzięczność dla żołnierza wielkiej wojny. Któż zaś lepszym tego żołnierza symbolem, aniżeli Foch?

*

W Polsce zaś ma szczególne znaczenie to, że był Francuzem. Opatrzność tak zrządziła, że losy nasze w Europie są związane z losami Francji. Mamy już poza sobą przeszłość, w której się to uwydatniło z całą oczywistością. Przelewaliśmy w ciągu wieku XIX krew na jednych i tych samych pobojowiskach. Wyrobiło się braterstwo broni między żołnierzem polskim i francuskim. Żyją jeszcze w Polsce synowie i wnukowie tych, co zdeptali całą Europę idąc za orłami Napoleońskiemi. Mamy pełną świadomość tego, jaką rolę w ostatniej wojnie odegrał genjusz wojskowy francuski, wcielony przedewszystkiem w Fochu i jakie ofiary poniósł naród francuski. Foch był jednym z najwybitniejszych żołnierzy francuskich, wiemy zaś, że w żołnierzu ogniskują się najlepsze cechy ducha narodu francuskiego, ducha nawskroś rycerskiego. Żal, jaki śmierć Focha obudziła w całej Polsce, objawy czci, jakiej cały naród pokolei dał wyraz przy tej okazji— skierowane były nietylko do człowieka, który tak doniosłą odegrał rolę w dziejach świata, lecz także do tego wszystkiego, czego w oczach naszych Foch był i pozostanie symbolem, a mianowicie żołnierza zwycięskiego z wojny 1914 — 1918 roku i Francji nieśmiertelnej.

STANISŁAW KOZICKI

O RÓŻNYCH DEMAGOGJACH

SKORO już wszyscy, jak na placu sportowym, rzucamy i odrzucamy sobie nawzajem przydomek demagogów, niby ogromną piłkę polityczną, nie od rzeczy będzie zastanowić się nad nim głębiej, a w każdym razie szczerzej.

Demagogja jest to sztuka prowadzenia, lub jeśli kto woli, uwodzenia ludu. Lud podlega demagogji w dwojakiej postaci: jako tłum lub jako publiczność. Tłum w zwartej ciżbie daje się hypnotyzować żywem słowem; publiczność rozproszona po mieszkaniach, kawiarniach, skwerach, ulicach, żywi się głównie gazetami, których okruchy szlifuje między sobą wśród płynnej wymiany zdań. Istnieje tedy demagogja wiecowa i prasowa, pierwsza niewątpliwie niższa od od drugiej. Ta druga bowiem przemawia bądź co bądź do jednostek, wprawdzie nie do jednostek wybranych, ale trybun wiecowy apeluje zawsze do wyobrażeń i uczuć najprzeciętniejszych.

Demagogja stanowi zjawisko nierozłączne z powszechnem głosowaniem: gdzie miljony głosują, tam muszą być tłumne wiece, gdzie najszerszy ogół czyta, musi istnieć brukowa prasa, dostosowana do poziomu „fiakrów", i taka prasa bije taniością poważniejszą lekturę. Nie sądźmy jednak, by demagogja prosperowała wśród analfabetów i półanalfabetów. Tłumem jest także zgromadzenie 100 literatów, 100 profesorów wyższych, 100 generałów, 100 najbogatszych fabrykantów lub najbłękitniejszych obszarników, jakich to zgromadzeń były przykłady za naszej pamięci. Zbierzmy do jakiej sali dwustu dotychczasowych ministrów Rzplitej, a napewno wytworzy się między nimi eter, poruszany demagogją ministrowską.

Więc nie poziom umysłowy ani przynależność społeczna — bo i z chłopem można się wdać w subtelne dociekania — ale pewne ludzkie, arcyludzkie prostactwo, wytwarzające się z zetknięcia setki podobnych duchów, i robiące z nich czarne masy, owego *m*, o którem tyle pisał kawaler orderu Odrodzonej Polski, stanowi główne tworzywo demagogji, i na to niema żadnej rady. Z tysiącem wiecowników dyskutować nie można, tak samo jak z tysiącem czytelników jakiegoś „czerwoniaka". O ile więc marszałek Piłsudski nie skasuje wogóle wyborów, albo nie nakaże ich odbywać w każdej wiosce w formie zamkniętego konklawe, w izolowanych celach, w kamedulskiem milczeniu, prowadzenie czy też uwodzenie ludu będzie nadal zjawiskiem powszedniem, i nie pozostanie nam nic innego, jak wybierać między lepszym i gorszym gatunkiem demagogji.

O tem, co lepsze lub gorsze, sądzi się według następstw zewnętrznych i wewnętrznych, boć przecież każde działanie społeczne zmienia stosunki między ludźmi — i zmienia samych ludzi. Czem byłaby historja świata bez demagogji? Demagogję pod hasłem wyzwolenia Ziemi Świętej uprawiali Piotr Pustelnik i św. Bernard z Clairvaux, tak samo do najprostszych pobudek pukali Luter i Knox, i ci, co rozniecili w Amerykanach pragnienie niepodległości i ci, co wołali na całą Francję: „*La patrie en danger!*" U nas podobną bronią walczyli o „egzekucję" postępowcy za Zygmunta i zachowawcy, konfederaci Barscy, zwłaszcza ci z pośród nich, którzy wiedzieli, że ulgi dla dysydentów nie są jeszcze grobem dla katolicyzmu, ale że bez uderzenia w strunę wyznaniową naród się nie obudzi.

Spróbujmy tedy odróżniać. Gdy jeden woła: „żądamy taniej odzieży!“, a drugi uczy: „swój do swego po swoje“, to pierwszy wskazuje, jak można tanio skonsumować Polskę istniejącą — i wzbogacić kraje ościenne, drugi próbuje tworzyć Polskę wieczną: demagogja spożywcza i twórcza. Gdy jedni drukują plakaty: „chłopi głosujcie na chłopa“ albo: „urzędnicy wybierajcie urzędników“, zaś inni: „Polacy wszystkich warstw, pamiętajcie o Wielkiej Polsce“, to pierwsi ową Polskę rozbijają, drudzy potęgują. Gdy w jednem mieście słychać deklamacje: „Nasz gród, serce Polski“, a w innem: „Nie damy ziemi skąd nasz ród“, to tam demagog schlebia tłumowi, tutaj pociąga go do spełniania obowiązku: pochlebstwo jest właśnie zwykłą cechą lichej demagogji. Bywa demagogja partyjna („Polska to my“ — „nie patrzmy poza nasz stół“) i bezpartyjna (ujadanie na partyjnictwo: „precz z programem“) — trudno orzec, która lepsza. Raz operuje się szczytną, wieczną zasadą („Bóg i Ojczyzna“), kiedyindziej wielkiem imieniem („Niech żyje Taki a taki“), które póty ma jakąś wartość, dopóki dany osobnik naprawdę żyje i działa. Bywa demagogja poswięcenia dla ojczyzny („Jeszcze Polska nie zginęła“) i demagogja koteryjnej zarozumiałości („My pierwsza brygada“). Wreszcie trzeba odróżniać demagogję uczciwą od nieuczciwej, z których pierwsza w dobrej wierze powtarza oklepany frazes: „oszczędnością a pracą narody się bogacą“, druga zapowiada, że „za dwa miesiące będziemy mieli czynny bilans handlowy“.

Jest w czem wybierać i czasem wybór będzie trudny: mianowicie wtedy, gdy pewna metoda „łapichłopstwa“ ciągnie za sobą złe skutki zewnętrzne obok dobrych wewnętrznych lub naodwrót. Konfederaci Barscy przyśpieszyli pierwszy rozbiór, ale uratowali duszę polską. Ktoś inny, wywijając sztandarem „państwowości“ i „antypaństwowości“ może chwilowo przygłuszyć waśnie partyjne, ale zarazem ogłupić społeczeństwo, pogrążyć je w apatji, osłabić w niem poczucie odpowiedzialności za ojczyznę. Powinnoby być prawidłem dla wszystkich polityków demokratycznych, że tylko taka demagogja jest godziwa, która daje dobre skutki i nazewnątrz i nawewnątrz, to znaczy poprawia stosunki w kraju — i uspołecznia, uszlachetnia ludzi. Publiczność i tłum mają dużo wspólnego z dziećmi: chodzi o to, aby w demagogji było jak najwięcej zdrowej pedagogji.

„To niesłychane“ — obruszy się Magnificencja, czy też redaktor wielkiego dziennika: żeby profesor uniwersytetu bronił demagogicznych metod działania!“ Nie bronię ich i nie oskarżam, ani nie umiem niemi operować: stwierdzam tylko, że są nieuknione, i że trzeba wśród nich przebierać. Prawda, istnieje jeszcze oświata, która demagogję wykształci, ale jej nie usunie. Prawda, istnieje jeszcze coś innego, czego tu po imieniu nie nazwę. Ale na to, żeby profesor J. chciał kupić za 80000 koron posła St., trzeba żeby ten poseł prowadził za sobą tysiące chłopstwa. Można płacić po 100 i 1000 złotych za każde przemówienie przedwyborcze na temat dostarczonych przez rząd sztucznych nawozów, ale nawet za 8 miljonow z funduszu Prezydjum Rady Ministrów nie kupi się miljonów tajnych głosów wyborczych, ktoś musi lud do urny poprowadzić.

Kraków WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

PODSTAWY SPORU JAPOŃSKO-AMERYKAŃSKIEGO

JEDNĄ z najaktualniejszych kwestyj doby obecnej, kwestyj, któremi żywo interesuje się opinja publiczna, jest bezsprzecznie konflikt między dwiema światowemi potęgami, Stanami Zjednoczonemi i Japonją. Zagadnienie to rozpatrywane jest od dawna na łamach prasy i literatury politycznej wszystkich narodów; jest ono jednak tak bogate w swoich przejawach, że trudno ogarnąć jego całokształt w ciasnych ramach artykułu.

Aby wyrobić sobie właściwy sąd o tym skomplikowanym problemacie, najwłaściwiej jest starać się śledzić bieg wypadków ze stanowiska bezstronnego widza. Wtedy dopiero znaczenie konfliktu japońsko-amerykańskiego ukaże nam się w całej swej doniosłości. Nie należy bowiem zapominać, że areną tej potężnej rywalizacji jest największy w świecie ocean — rozdzielający, a raczej łączący dwa największe w świecie kontynenty, Amerykę i Azję, że konfikt rozgrywa się między rasami, które w dziejach ludzkości zdały chlubnie egzamin ze swej żywotności i siły. Łatwo też zrozumieć można obawy pesymistów z pod znaku „Żółtego niebezpieczeństwa“, którzy w antagonizmie japońsko-amerykańskim widzą zarzewie pożaru, mającego, ich zdaniem, rozpłomienić w przyszłości cały świat.

Przyczyną, która od wieków popychała narody do tytanicznych zmagań, a której należy również szukać u źródeł konfliktu japońsko-amerykańskiego, jest tendencja, biorąca swój początek w zasadniczych cechach natury ludzkiej, potrzebie panowania i walki o byt, tendencja znana ogólnie pod nazwą imperjalizmu.

Imperjalizm jest to dążenie, skłaniające poszczególne mocarstwa do ciągłego i nieograniczonego rozszerzania swych terytorjów i wpływów. Dążenie takie, rzecz jasna, brzemienne bywa w skutki, których doniosłości nie można często przewidzieć. Nie można też dokładnie przewidzieć wszystkich konsekwencyj, jakie mogą wyniknąć z zetknięcia się dwóch wrogich sobie imperjalizmów: amerykańskiego i japońskiego. Pragnąc jednak, mimo wszystko, dojść do pewnych realnych konkluzyj, należy zdać sobie sprawę, w jakiej formie oba omawiane imperjalizmy się objawiają, jakie są pomiędzy niemi podobieństwa, a jakie różnice.

Głównem podobieństwem, które z łatwością nasuwa się na myśl każdemu uważnemu obserwatorowi, jest brak tradycji tak w jednym jak i w drugim wypadku. Zarówno imperjalizm amerykański, jak i japoński, są to doktryny bardzo młode; rozwój pierwszego z nich datuje zaledwie od wojny Filipińskiej, t. zn. od roku 1898 — bodźcem zaś dla imperjalizmu japońskiego stała się bitwa pod Cuszimą w roku 1904. Tak więc i Ameryka i Japonja musiały znaleźć dla swych imperjalistycznych dążeń wzór godny naśladowania, wzorem tym stał się dla nich imperjalizm angielski. Zasadniczym celem, jaki postawili sobie imperjaliści angielscy, było, jak wiadomo, kompletne opanowanie Indyj Wschodnich. Naród angielski postarał się osiągnąć ten cel, koncentrując w swych rękach władzę nad wszystkiemi ważniejszemi punktami strategicznemi Oceanu Indyjskiego, oraz nad morzem Śródziemnem. Była to tak zwana „polityka punktów oparcia“. Japonja zmuszona swojem położeniem geograficznem do bacznego zwracania uwagi na najbliższe szlaki oceaniczne, poszła rychło w ślady Anglji i wypracowała sobie również plan polityki punktów oparcia, przypominającej bardzo angielską. W imię tej właśnie polityki zaj-

muje Japonja w czasie wojny światowej Kiao-Czou, dawną niemiecką bazę morską na Dalekim Wschodzie, oraz wyspy Marjany, Karoliny i Marszala na Pacyfiku. Umożliwia jej to osiągnięcie przewagi na wodach Chińskich oraz pozwala rozwinąć ekonomiczną kontrolę nad Chinami. Tutaj też konflikt między Japonją a Ameryką zaczyna zarysowywać się wyraźnie, gdyż Stany Zjednoczone, wzorując się również na przykładzie angielskim, dążą do opanowania rynku chińskiego, jak Anglja opanowała niegdyś Indje. Analogja między imperjalizmem brytyjskim i amerykańskim jest również wielka, a przejawia się w trzech punktach: 1-o jak Anglja, tak i Stany Zjednoczone — chcąc zapewnić sobie hegemonję nad pewnemi terytorjami — dążą wpierw do opanowania oblewających je oceanów (Anglja—Ocean Indyjski; Stany Zjednoczone — Ocean Spokojny); 2-o następnie zapewniają sobie przewagę na morzach zamkniętych, leżących na drodze do opanowanych oceanów (Anglja — morze Śródziemne; Stany Zjednoczone — morze Karaibskie) oraz absolutną kontrolę kanałów, łączących te morza z oceanami (Anglja — kanał Suezki; Stany Zjednoczone — kanał Panamski); 3-o wreszcie tworzą na głównych szlakach morskich cały szereg baz, składów amunicji i stacyj węglowych, mających zapewnić stałą i szybką komunikację.

Jeśli zastanowimy się z kolei, jaka jest zasadnicza różnica między imperjalizmem amerykańskim i japońskim, zdajemy sobie natychmiast sprawę, że podczas gdy pierwszy z nich ma na celu zwiększenie potęgi Stanów Zjednoczonych, drugi jest dla krainy Wschodzącego Słońca, nie mogącej wyżywić swej ciągle wzrastającej ludności, kwestją życia i śmierci.

* * *

Aby ogarnąć całokształt konfliktu japońsko-amerykańskiego należy zrobić chociażby pobieżny przegląd historycznego jego rozwoju.

Pierwszą datą, zasługującą na uwagę w dziejach stosunków japońsko-amerykańskich, jest rok 1853, kiedy Stany Zjednoczone, pragnąc otworzyć rynek japoński dla swego handlu zagranicznego, wysłały na wody chińskie eskadrę pod dowództwem admirała Perry. Pod groźbą armat amerykańskich krążowników Japonja zmuszona została do podpisania traktatu handlowego, oraz do otworzenia kilku swych portów wpływom Stanów Zjednoczonych. Datą jednak, od której rozpoczyna się złota era potęgi amerykańskiej na Dalekim Wschodzie jest rok 1898. Stany Zjsdnoczone, ukończywszy zwycięsko wojnę z Hiszpanją, stają się panem Filipinów, wkrótce zaś potem przywłaszczają sobie wyspy Hawajskie, zadając tem samem dotkliwy cios Japonji, dla której wyspy te przedstawiały wartość nieocenioną tak ze względu na położenie geograficzne, jak i strategiczne.

Od tej chwili przewaga amerykańska na Oceanie Spokojnym jest zupełna. Stanowisko Ameryki nie ulega zmianie, aż do chwili wybuchu wojny między Japonją i Rosją. Stany Zjednoczone widzą z niepokojem wzrastające wpływy zwycięskiej Japonji w Chinach i od roku 1905 polityka amerykańska na Dalekim Wschodzie ulega radykalnej zmianie; z życzliwej i przychylnej staje się ona w stosunku do Japonji coraz bardziej chłodną, a nawet wrogą. Zaniepokojenie amerykańskiej opinji publicznej jest zresztą zupełnie zrozumiałe, jeżeli weźmiemy pod uwagę zwycięstwo lądowe armji japońskiej w Mandżurji oraz przewagę japońskiej floty na wodach chińskich. Waga tych przesłanek była wystarczająca, aby skłonić Stany Zjednoczone do medjacji między Japonją i Rosją. Pośrednictwo jednakże, z dużą zręcznością podjęte przez prezydenta Roosevelta, nie doprowadziło do przewidzianego załagodzenia starć między Stanami i Japonją, — przeciwnie, — opinja publiczna amerykańska, podniecona zarówno miliarnem powodzeniem Japonji jak i jej przymierzem z Anglją, które było dla kraju Wschodzącego Słońca nielada sukcesem dyplomatycznym, — dała upust swym antagonizmom rasowym, urządzając w roku 1906 burzliwe manifestacje przeciwko emigracji japońskiej do Kalifornji. Pod naciskiem tejże opinji Japonja zmuszona była do zawarcia z Ameryką ugody, zwanej *„Gentlemen's Agreement"*.

Od chwili zawarcia tej umowy, t. j, od roku 1907, nic nie zakłóca pozornej harmonji w stosunkach, dopiero wybuch wojny światowej powoduje zmianę sytuacji. Japonja postarała się wyciągnąć z kataklizmu światowego jaknajwięcej korzyści, rozszerzając jaknajdalej swe wpływy i posiadłości na kontynencie azjatyckim. Jak wspomnieliśmy wyżej, opanowała ona Kiao-Czou, oraz szereg wysp na Oceanie Spokojnym. Agresywność poczynań Japonji w Azji wywarła wielkie wrażenie na opinję amerykańską. Pod jej naciskiem rząd Stanów Zjednoczonych zmuszony był w roku 1919 zerwać istniejącą ugódę *„Gentlemen's Agreement"*. Naprężone stosunki między dwoma państwami polepszyły się wprawdzie nieco w roku 1921, dzięki Konferencji Waszyngtońskiej, jednak już w roku 1927 pierwotny wrogi stan powrócił.

* * *

Arena konfliktu japońsko-amerykańskiego jest wyjątkowo rozległa, głównym zaś jej ośrodkiem są Chiny. Ażeby pojąć całą wagę, jaką przywiązuje do Chin polityka zagraniczna japońska, należy pamiętać, że kraj ten stanowi dla Japonji naturalny teren ekspansji, zarówno dzięki swemu bezpośredniemu sąsiedztwu geograficznemu i łatwości komunikacji, jak i dzięki wspólności kultury, oraz różności struktury ekonomicznej, która pozwala Japonji mieć nad swym bogatym, lecz słabo zorganizowanym sąsiadem dużą przewagę. Japonja jest krajem przemysłowym, dlatego też musi posiadać w dostatecznej ilości żelazo i węgiel, owe zasadnicze podstawy nowożytnego przemysłu. Japońska produkcja żelaza wystarcza na potrzeby krajowe; inaczej natomiast przedstawia się kwestja węglowa, podczas gdy bowiem kopalnie japońskie obfite są w węgiel zwyczajny, opałowy — nie posiadają one zupełnie węgla koksującego, niezbędnego do fabrykacji żelaza i stali. Chiny są jedynym krajem, który, z jednej strony, może zaspokoić to zapotrzebowanie Japonji, — z drugiej zaś jest rynkiem zdolnym do zużycia produkcji przemysłowej japońskiej. Ażeby opanować Chiny uciekła się Japonja do środka niezawodnego — ingerencji finansowej. Ingerencja ta stosowana, szeroko przez banki japońskie, służyła nietylko celom ściśle ekonomicznym, lecz często wykorzystywana była przez rząd japoński dla celów politycznych.

Pomimo zobowiązań japońskich co do szanowania niepodległości i nienaruszalności granic Chin, posunięcia Japonji w stosunku do swego kolosalnego lecz słabego sąsiada były często agresywne. Już w roku 1896 wojna chińsko-japońska pozwoliła Japonji osiągnąć znaczne korzyści terytorjalne kosztem zwyciężonych Chin. Korzyści te jednak stały się bezpośrednią przyczyną interwencji Rosji, która niechętnem okiem patrzyła na rosnące wpływy japońskie w Chinach, wpływy skoncentrowane szczególnie w Porcie Artura. Port ten stał się ośrodkiem dyplomatycznym i strategicznym wojny japońsko-rosyjskiej, która, jak

wiadomo, skończyła się kompletną porażką Rosji, zmuszonej do zrezygnowania z hegemonji na Dalekim Wschodzie.

Od tej chwili przez zgórą lat 10 spoczywa Japonja na laurach. Przypomina ona sobie o swych imperjalistycznych projektach dopiero w roku 1914, korzystając skwapliwie ze sposobności, która jej pozwala wyprzeć Niemców z Kiao-Czou. Operacja ta dokonana została oczywiście kosztem Chin, gdyż Japończycy zajęli miejsce Niemców, uzurpując sobie jeszcze więcej praw, niż te, które zostały ongiś Niemcom przyznane.

Ekspansja japońska — dzieło przemysłowców bankierów — nie jest jednak zjawiskiem, opartem na czysto materjalistycznych podstawach. Całe jej niebezpieczeństwo dla Ameryki leży w głębokiem przekonaniu elity japońskiej o panazjatyckiem posłannictwie kraju Wschodzącego Słońca. Japonja, zdaniem Japończyków, jest w pierwszym rzędzie powołana do wcielania w czyn hasła: Azja dla Azjatów. Dla osiągnięcia tego celu musi ona wejść w kontakt ze swym naturalnym i najpotężniejszym sprzymierzeńcem — Chinami. Zbliżenie więc między dwoma państwami, i tak już ściśle ze sobą związanemi węzłem rasowym, nastąpić musi prędzej czy później, powodowane gwałtowną opozycją Chin przeciwko wszelkiej kontroli obcej oraz niechęcią do białych. Nastąpi ono oczywiście kosztem wpływów amerykańskich na Dalekim Wschodzie.

Polityka Stanów Zjednoczonych w Chinach, oprócz zasadniczych różnic w dążeniach, różni się od polityki japońskiej wyraźnem pragnieniem zachowania istniejącego *„status quo“*. Polityka amerykańska na Dalekim Wschodzie opiera się na dwóch zasadniczych postulatach, które uważane są w Ameryce za aksjomaty, podobnie jak doktryna Monroego i Panamerykanizm. Postulatami temi są: 1-o zasada „otwartych bram“, 2-o nienaruszalność granic Chin. W legitymizmie dążeń amerykańskich, jak to łatwo zauważyć można, kryje się groźba dla pokoju na Dalekim Wschodzie, Stany Zjednoczone bowiem uważają za wrogie sobie wszelkie działania państw ościennych, mające na celu naruszenie w jakikolwiek sposób istniejącego *„status quo“* w Chinach, stosując do tego kraju Doktrynę Monroego. Jak widzimy więc chęć ekonomicznego opanowania Chin przez Amerykę jest zupełnie jasna. Aby ten cel osiągnąć, Stany Zjednoczone zmuszone były uciec się do swych klasycznych metod, zakrojonych na skalę naprawdę amerykańską. Rząd udzielił poparcia licznym stowarzyszeniom naukowym, które za cel swego istnienia obrały sobie zainteresowanie najszerszych warstw publiczności amerykańskiej sprawami Dalekiego Wschodu. W rozpoczętej kampanji wzięła również udział prasa amerykańska i kapitały napływające do Chin pod postacią lokat w przedsiębiorstwach przemysłowych oraz pożyczek udzielanych rządowi chińskiemu.

Rywalizacja japońsko-amerykańska w Chinach musiała doprowadzić do tarć, których ostrość zwiększała się, lub zmniejszała, zależnie od ewolucji nastrojów opinji amerykańskiej. W ewolucji tej rozróżnić można trzy etapy. Pierwszym z nich jest rok 1900. Od tej daty, dzięki akcji amerykańskiego sekretarza Stanu, Hay'a, polityka Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie przybiera konkretne formy, w myśl wyżej wspomnianych postulatów. Od tego również czasu stosunki między Ameryką a Japonją zaczyna cechować wzajemna nieufność, która przechodzi w Ameryce w stan silnego niepokoju po podpisaniu przymierza japońsko-angielskiego w roku 1902, a przybiera formę antyjapońskiej, wrogiej agitacji, po zwycięstwie Japonji nad Rosją w roku 1905. Rok ten jest drugim etapem w ewolucji stosunków japońsko-amerykańskich, etapem rozpoczynającym okres ogólnego naprężenia stosunków i ciągłego niebezpieczeństwa komplikacyj politycznych.

Położenie stało się tak ciężkie, że uregulowanie w jakikolwiek sposób stosunków japońsko-amerykańskich okazało się palącą koniecznością w roku 1919. Podrażnienie opinji publicznej tak w Japonji, jak i w Stanach Zjednoczonych doszło do szczytu. Japonję oburzała polityka Ameryki, krępująca ekspansję japońską w Chinach. Ameryka zaś ze swej strony nie mogła darować Japonji jej zachłanności na kontynencie azjatyckiem. Nie należy bowiem zapominać, że cała wschodnia Syberja była wówczas pod kontrolą wojsk japońskich, które okupowały również jedną z najbogatszych prowincyj chińskich, Szantung. W ten sposób Japonja przeciwstawiła się wyraźnie polityce amerykańskiej na Dalekim Wschodzie, opierając się na swym potężnym sprzymierzeńcu — Anglji.

Paryż

BOHDAN ZANIEWSKI

(dok. nast.)

NOWA KSIĄŻKA O LITERATURZE ANGIELSKIEJ

ŻYWE po dziś dzień, mimo wielu niepomyślnych czynników, zainteresowanie literaturą i epoką naszego romantyzmu, obraca się w kole pewnej izolacji od romantyzmów obcych. Miary i kryterja, stosowane u nas, są do pewnego stopnia jednostronne; niejedna głęboka idea czy kreacja romantyczna znajdują się dotychczas poza skalą naszych ocen. Jest to deficyt intelektualny, domagający się wyrównania, zwłaszcza gdy chodzi o romantyzm angielski i francuski. Dlatego też ze szczerem zadowoleniem należy powitać ukazanie się gruntownego dzieła o romantyzmie angielskim, pióra prof. Andrzeja Tretiaka p. t. „Literatura angielska w okresie romantyzmu (1798—1831)“ (K. S. Jakubowski, Lwów 1928).

Dzieło zawiera na wstępie charakterystykę tła i objawów romantyzmu w Anglji oraz wyjaśnia metodę badania utworów literackich, stosowaną przez autora w dalszej części pracy, obejmującej w historycznem uszeregowaniu poetów, powieściopisarzy i *essay*'istów tego okresu, który prof. Tretiak nazywa słusznie okresem arcydzieł.

Uwzględniając szeroko czynnik społeczny, autor widzi w utworze literackim, w stylu, kierunku „dzieło swej epoki“, skutkiem czego staje się możliwe nietylko omówienie, lecz i interpretacja kulturalno-historyczna romantyzmu.

Badany „okres arcydzieł“ wyznaczają daty: 1798 rok wydania *„Lyricals Ballads“* Wordswortha i Coleridge'a — i 1831, ostatni rok pracy powieściopisarskiej Waltera Scotta.

Początek — historycznie i ideowo — nawiązuje do świeżo ukończonego okresu rewolucji francuskiej, której hasła znalazły głośny oddźwięk w umysłowości angielskiej owych czasów, a której autor przypisuje ogromną rolę twórczą w romantyzmie angielskim obu pokoleń — starszego i młodszego. W okresie tym rodzą się dzieła, wyrażające twórcze przeżycia wielkich indywidualności oraz ujmujące „w rytm tętno swego pokolenia“ — w formie najdoskonalszej.

Bliższą charakterystykę romantyzmu poprzedza wykład metody badań, polegającej na rozróżnieniu w każdem dziele literackiem czterech momentów zasadniczych: treści wewnętrznej i zewnętrznej oraz takiejże formy. Dokładne wyróżnianie ich jest rzeczą ogromnej wagi dla wszechstronnego zrozumienia dzieła i jego właściwej oceny. Treść wewnętrzna — to idea, „która jest zawsze stosunkiem artysty do jakiegoś faktu życiowego". Fabuła, „postać" — to treść zewnętrzna — jest najluźniej związana z twórcą i często wcale doń nie należy. Forma wewnętrzna — to kompozycja dzieła, rozstrzygająca o stopniu porozumienia między autorem a odbiorcą (dobrzeby rzecz tę wyjaśnić szczegółowiej). Formą wreszcie zewnętrzną jest to, co obejmuje środki ekspresji, materjał danej gałęzi sztuki względnie literatury.

Przechodzimy do romantyzmu angielskiego. Ideą zasadniczą jego jest dla prof. Tretiaka idea sprawiedliwości społecznej jako układ praw i obowiązków — idea ta, nie nowa w Anglji, nabrała nowej mocy w związku z ideologją rewolucji francuskiej.

Idea ta wymagała, żeby w obręb wyższej kultury były wciągnięte szerokie masy, znajdujące się poza nią i poniżej niej, a więc chodziło o trafienie do serc ludzi prostych i skromnych, o takie ideały, które mogłyby zapalać każdą duszę ludzką. Zapalać ją ma i poeta, którego celem, według Wordswortha powinna być „radość, zaszczyt i pożytek dla ludzkiej natury".

Od strony społecznej szczęście takie, zdaniem poetów romantycznych, da się osiągnąć dzięki czterem ideałom: natury, historyczności z ludowością, mistycyzmu i kultu piękna w sztuce.

Natura w romantyzmie angielskim jest jednym z podstawowych motywów, staje się ona źródłem harmonji i pogody życia, drogą do poznania Boga, krynicą najgłębszej mądrości.

Z chwilą jednak, gdy zaczęło się wyjaśniać, że humanistycznych wartości niepodobna znaleźć w naturze, zwrócono się do przeszłości, do historji, szukając tam, wraz z gruntującem się pojęciem narodowości i obowiązków narodowych, ideałów i uczuć przewodnich. Równolegle szła tendencja do zgłębienia warstw narodu, od góry do dołu, do sięgnięcia w pokłady twórczości ludowej, jak ballady, legendy i t. p.

Ale pęd romantyczny nie poprzestał na tem. Potrzebował nieskończoności i absolutu. Znalazł go w ideach zaświata, nadzmysłowości, w fantastyce dawnych wieszczów i w religijności, która tak odbija od racjonalizmu poetów XVIII w.

Wreszcie czwarte rozwiązanie problematu szczęścia—do ideału przez piękno sztuki—jest historycznie najpóźniejsze. Pokrewieństwo prawdy i piękna stało się formułą społecznych ambicyj artystów. Analizując te cztery ideały romantyczne dochodzi prof. Tretiak do wniosku, że samo zagadnienie sprawiedliwości społecznej, układ praw i obowiązków, zostały przez romantyzm wyminięte. Rozszerzono jednak widnokręgi, skalę odczuwań, pogłębiono olbrzymio koncepcję jednostki.

Poezja w rezultacie nabrała „pewnego charakteru naukowości", walki o własny pogląd na świat, zanikać począł dydaktyzm i satyra społeczna wraz ze sztywnym alegoryzmem, ustępując miejsca symbolom, nastrojowości, posługującej się językiem ile możności bliższym bezpośredniości, stwarzającym nawet nowy rodzaj literacki tak zw. prozę imaginacyjną, w zakresie powieści wreszcie—konwencjonalne romanse ustępują miejsca bujnej i żywej powieści obyczajowej.

Historyczny dział rozpoczyna się od Wordswortha. Mało dzisiaj znamy poetę, którym zachwycali się spółcześnicy Niemcewicza. Głębokie odczucie duszy ludu, humanitaryzm, kult natury jako źródła dobra i prawdy—oto cechy talentu poety, jednego z trzech (Wordsworth, Southey, Coleridge) poetów „Szkoły Jezior" (lakistów), opiewających urocze zakątki Anglji. Wordsworth usiłuje poezji swej dać pewien podkład filozoficzny: widzi on w naturze świadome życie, podlegające „powszechnej Miłości", człowiek jest cząstką natury chłonącą jej istotę; dzięki kontemplacji dochodzi do zdobycia najgłębszych prawd moralnych. Pracował też Wordsworth nad krytyką literacką, teorją twórczości poetyckiej (teorja wyobraźni), zapalał się do idej rewolucyjnych, którym z czasem ostro się przeciwstawił — pisarzem był płodnym.

Dalej analizuje autor twórczość S. T. Coleridge'a „najgłośniejszego i najszczerszego z lakistów", jak go określa Kasprowicz.

Niezwykle bogata i oryginalna twórczość autora „Pieśni o starym żeglarzu" została obszernie potraktowana. Coleridge—myśliciel, Coleridge—mistyk, Coleridge — neuropata, palacz opium, uwieczniający w genjalnych fragmentach swe sny i wizje — występują na tle subtelnych analiz poezyj i prac.

Również obszernie została potraktowana najbardziej zagadkowa postać wśród romantyków angielskich, William Blake, nietylko poeta-wizjoner, lecz i świetny rysownik i grafik. Wizje Blake'a, tak dalece realne, że podobnie jak Swedenborg, mógł rozmawiać z niemi, odbiły się w tej hermetycznej twórczości, gdzie szczególna moralność mistyczna, antropozofja, historjozofja, proroctwa—zdumiewają nas czemś zgoła zaświatowem. „Twórczość Blake'a jako całość jest wielkim mitem rewolucji i romantyzmu angielskiego", mówi prof. Tretiak. Jest to mit przy swem pięknie niezmiernie trudny do odczucia i zrozumienia. Wymaga wtajememniczenia.

Są dalej, wśród innych, Southey, Moore, słynny piewca *„Lalli Kookh"* (części tłumaczył Odyniec), Campbell, twórca pieśni wojennych, jedyny z romantyków szczerze interesujący się losem Polski, założyciel *„Polish Literary Association"* w Londynie.

Z powieściopisarzy tego okresu na czoło wysuwa się oczywiście Walter Scott „wielki czarodziej Północy", jak go nazywano. „Twórczość Scotta—mówi prof. Tretiak—stała się klamrą, która spięła wiek XIX z przeszłością poprzez linję graniczną rewolucji".

Ukazując ideał jako kryterjum moralne obowiązku dla szerokich mas, szczepiąc umiłowanie przeszłości, szlachetne formy „powieści grozy", wprowadzając zbierane przez siebie motywy ludowe szkockie, typy już ginace dawnej Szkocji, zbliżał nietylko literaturę do życia, ale i życie podnosił na stopień wyższy. Na szczególną uwagę zasługuje rola, jaką w ideologji W. Scotta odegrał ustrój klanowy w Szkocji torujący drogę demokracji bez konieczności krwawych wstrząsów rewolucji, której Scott zawsze był wrogiem.

I jako poeta i jako autor wspaniałych romansów historycznych, których wpływ zaznaczył się tak silnie i w naszej literaturze, Scott był dobrze znany i w porę zostaje odświeżony, dzięki rozbiorom jego powieści przez prof. Tretiaka.

To samo tyczy się Byrona, o którym autor podaje nieznane dotąd wiadomości biograficzne (romans z przyrodnią siostrą). I ten genjusz nieszczęśliwy i olśniewający, zapomniany przez długie lata, ukazuje się dzisiaj jako wspaniały rzecznik indywidualizmu. Bardzo gruntowne jest tu studjum biograficzno-psychologiczne Byrona, którego osobista tragedja, jako walka z namiętnościami, znalazła swój wyraz i w formie i w bohaterach typu „bajronicznego", tających w ten sposób głęboką prawdę życiową.

Obok Byrona znajdujemy P. B. Shelleya, genjusza, który dopiero po śmierci został oceniony. Cztery główne motywy wyróżnia w nim prof. Tretiak: tendencje wolnościowe (głównie wolność polityczna i wolność sumienia), miłość przyrody sięgającą panteizmu, miłość wogóle, utożsamianą niekiedy z pięknem i element osobisty, w którym indywidualne przeżycia poety służą za punkt wyjścia dla snucia idej ogólnych— poza czas i przestrzeń. I tu uderza psychologiczna wnikliwość w twórczość największego z piewców natury, w niezmierną złożoność poety, jakby niezdolnego do życia i ginącego śmiercią przedwczesną w falach morza.

I twórczość drugiego przedwcześnie zgasłego genjusza romantyki angielskiej, J. Keatsa, twórcy przedziwnych ód i rapsodów mitologicznych, została gruntownie omówiona, i tu jak w stosunku do Shelleya potrafił autor znaleźć drogę do intymnego świata poety, wyjawił jego odrębność psychiczną, co wobec ogromnej złożoności i głębi romantyków angielskich nastręczało poważne trudności.

Pouczający jest rozdział o t. zw. prozie imaginacyjnej, jakbyśmy powiedzieli prozie poetyckiej, znajdującej wyraz swój w *essay*'u romantycznym. *Essay*istom, jak W. Hazlitt, K. Lamb, T. de Quincey (znany trochę i u nas) i innym poświęca prof. Tretiak duży rozdział, szczególnie badając właściwości ich stylu i kompozycji.

Pozatem dużo nazwisk i tytułów dzieł, pozwalających zdać sobie sprawę bodaj w przybliżeniu z bogactwa literatury angielskiej owych czasów. Wartości jej—filozoficzne i estetyczne — są miary najwyższej. Żaden romantyzm chyba tak samodzielnie nie zamyślał się nad problematami Człowieka, Natury, Życia i Śmierci. Kształcący wpływ jego nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Książka prof. Tretiaka, jako powstała z wykładów uniwersyteckich, jest przeznaczona przedewszystkiem dla studentów, ale czytać ją powinny szerokie koła. Oczywiście, brak przytoczeń, urywków, w szerszym zakresie będzie dla czytelników dotkliwy. Zaradzić mogłaby jakaś chrestomatja angielska. Dotychczas tylko Kasprowicza przekłady mogą tę lukę wypełnić (obok paru innych).

Wraz z dziełem prof. Wł. Tarnawskiego o literaturze angielskiej do Drydena, książka prof. Tretiaka może dać impuls do rozpoczęcia przekładów z wielkiej literatury angielskiej poza Jackiem Londonem, lub nawet... B. Shawem.

Są lepsi i pożyteczniejsi.

LESZEK KONOPACKI

ŻEROMSKI O KORSYCE

We „Wspomnieniu o Stefanie Żeromskim", ogłoszonem w „Pamiętniku Koła Kielczan" za lata 1926—27 umieściłem dwa listy tego pisarza (bliżej interesujące Kielczan) z końca 1902 r., pisane z Warszawy po powrocie z Włoch. Obecnie podaję list z tegoż roku, pisany z Włoch do mnie do Lwowa. List ten uzupełnia korespondencję, ogłoszoną przez p. Stanisława Knauffa Nr. 17 „Myśli Narodowej" z r. 1927 p. t. „Z wrażeń włoskich Stefana Żeromskiego". Autor zajęty był wówczas wykończaniem „Popiołów", których druk zaczął po powrocie do kraju. O tej właśnie powieści jest mowa w liście. Pobyt na Korsyce, którą w liście się zachwyca, przydał mu się potem do „Dziejów grzechu". Zresztą list komentarzy nie wymaga. (Z. W.)

Desenzano nad Garda d. 24.IV. 1902 r.

Kochany Zygmunciel

Żałuję, że nie widziałem się z Kasprowiczem, ale to się stało nie z mojej winy. Telegram Twój nadszedł do Nerwi, kiedy mię tam już nie było; posłano go w liście do Nicei, tak jak poleciłem robić z listami i gazetami, ale nadszedł do Nicei po moim wyjeździe na Korsykę, więc go odesłano do Florencji. Przybywszy do Florencji 18 kwietnia, zastałem ów telegram, zwiastujący mi, iż Kasprowicz ma być w Nerwi właśnie 18 kwietnia. Natychmiast zatelegrafowałem do Nerwi na imię Kaspr., że czekam go we Florencji w ciągu trzech dni. Było mu po drodze z Nerwi do Rzymu — tymczasem nie przyjechał. Ponieważ mój urlop się kończył, musiałem jechać dalej do Bolonii, Mantui, Werony, Desenzano i t. d., tembardziej, że te miejscowości są mi bardzo potrzebne w moich ramotach. Bardzo żałuję, że nie widziałem Kasprowicza, dla którego mam kult taki. Tembardziej w cudnej Florencji, na Fiesole, gdzieśmy siedzieli z towarzyszami podróży.

Co do przedruku nowej nowej mojej powieści, to zgodziłbym się na to bardzo chętnie, ale już dawno, jeszcze w zaprzeszłym roku zamówiła taki przedruk do Kurjera Lwowskiego pani Wysłouchowa. Jeżeli to jest możliwe, żeby dwa pisma dawały tensam przedruk a to i owszem, ale nie wiem, czy to jest we zwyczajach szanujących się organów, żeby czerpały tesame komunały z tejsamej co inni krynicy. Może jednak są na ziemiach galicyjskich takie zwyczaje, napisz wówczas do mnie (Żabia N. 4), a chętnie certyfikat wystawię i wezmę honoraryum.

Wkrótce druk zacznę, zapewne w lipcu, czy co— w Tygodniku Illustrowanym. Do Lwowa teraz nie mogę jechać, gdyż i tak zmachałem się setnie, a zresztą praca mię czeka w Warszawie. Będę trzy dni w Zakopanem, od 29 kwietnia do 4 maja. Możebyś tam napisał, jeśliby było co potrzeba pisać. (Poste-restante).

Śliczne są Włochy i, co im się chwali, ciepło. Osobliwie Korsyka, a na Korsyce Ajaccio, gdziem blisko tydzień leżał do góry brzuchem, słuchając jak jak taki korsykański słowik śpiewa i kukułki kukają. Napoleon na każdym kroku. Chłopy z brodami i koziorami za cholewą. Cudny kraj. Jeździliśmy na osłach w góry. Co za pustynia. Istny raj dla poetów. Są tam zresztą śliczne miejsca, jak Zakopane np. Vinavona. Rekomenduję każdemu. Lasy limbowe na wysokości 900 metrów. Morze wokoło, a góry w śniegu.

Całuję Cię i życzę powodzenia

S. ŻEROMSKI

Na zeszycie niniejszym, który dojdzie Czytelników w dni Wielkanocne, robimy ten napis z życzeniami WESOŁYCH ŚWIĄT. Nie robimy tego tylko dla form tradycyjnych, czujemy potrzebę podzielenia się wyczuciem, że idzie ku wiośnie, że pękają lody. Oby tylko wylewu nie było! Dobroczynna polska wiosna przywróci prawo życiu prawdziwemu. Nowe życie, żeby w niem stare mogło się odrodzić, przebywać musi zimowe kataklizmy. Ale siłą odrodzeń ludzkich jest duch. Ze snu trzeba go budzić nakazem tradycyj narodowych, które są we krwi, i wiarą w naród. Swoim najbliższym w pracy powiedzmy za młodym Mickiewiczem:

„Niech umysłów nie chwieje burzliwość powodzi,
Towarzystwo nieliczne, kruchej słabość łodzi".

LIBERUM VETO

Garść wspomnień.

PRZED kilku tygodniami zmarł w Warszawie człowiek szeroko znany, który jednak zeszedł do grobu bez wieńca ważnej zasługi obywatelskiej— Józef Natanson. Jako jeden z bliskich jej świadków powinienem ją przypomnieć, a nawet w znacznej części odsłonić, zwłaszcza, że ona się wiąże z owiniętą w tajemnicę cząstką dziejów naszej niewoli.

Jak wiadomo, panowanie Aleksandra III było okresem spotęgowanego aż do dzikości gnębienia Polaków. Skargi na tę torturę polityczną płynęły z Królestwa zagranicę nieprzerwanym ciągiem, a naturalnie głównemi dla nich upustami były dzienniki galicyjskie i poznańskie. Wysyłane wszakże stąd korespondencje miały jedną wielką wadę: bądź z powodu trudności ścisłego ustalenia faktów, bądź dla wzmocnienia mocy obwinień mieszały prawdę z przesadą, a niekiedy z kłamstwem. Te domieszki dawały władzom rosyjskim możność łatwego odpierania zarzutów, a nawet wyszydzania prawdomówności Polaków. Ponieważ przytem stwierdzaliśmy, że oskarżenia rzetelne wywoływały popłoch w napiętnowanej przez nie administracji i hamowały jej samowolę, postanowiliśmy zorganizować tajemnie koło literackie, któreby zbierało wiarogodny materjał dowodowy i układało z niego korespondencje pod względem faktycznym najdokładniej sprawdzone. Na zebrania terminowe lub doraźne członkowie przynosili wydobyte rozmaitemi drogami przyczynki, z których stały korespondent układał sprawozdania. Nie zawsze znaliśmy ich źródła, z konieczności obwarowane dyskrecją; mogę przeto wymienić przykładowo tylko jedno z tych, z którego sam korzystałem. Sekretarzem osławionego Apuchtina był niejaki Czystiakow, który przedtem jako cenzor dostał dymisję za przepuszczenie kilku artykułów w redagowanej przezemnie „Prawdzie". Poprzednia znajomość, a nadewszystko powód jego katastrofy urzędniczej utrzymał nas w stosunku pewnej życzliwości i pobudził mnie do zaproponowania sekretarzowi polakożerczego kuratora, ażeby mi dostarczył odpisy niektórych jego okólników szkolnych. Zgodził się, ale nie na wszystkie, tylko na te, które kompromitowały samego Apuchtina, a nie rząd rosyjski wogóle. Otrzymywał za to rozmaite honorarja, dochodzące do 100 rb.

Skład koła w ciągu 10 lat zmieniał się. Uczestniczyli w niem stale lub czasowo: W. Andrychewicz, A. Bem, O. Bujwid, S. Dickstein, J. Karłowicz, H. Konic, S. Krzemiński, S. Leszczyński, J. Natanson, F. Nowodworski, W. Smoleński, A. Suligowski, A. Świętochowski i F. Zieliński. Pierwsze korespondencje pisywał Fr. Nowodworski, po nim A. Bem (pseud. Tadeusz Racławicki) w „Dzienniku Poznańskim", wreszcie S. Krzemiński (Narrans) w „Nowej Reformie". Przedrukowano je później w osobnych książkach. Jednocześnie rozpoczęliśmy wydawanie broszur, ujawniających gwałty i nadużycia rządu rosyjskiego. Pierwszą opracowałem ja: wyszła pod tytułem „Z domu niewoli" (we Lwowie 1889 r.) i kryptonimem T(owarzystwo) L(iterackie), w którym domyślano się Teofila Lenartowicza. Drugą napisał S. Dickstein: „Szkoła w Królestwie Polskiem", czwartą i piątą W. Smoleński: „Prześladowania unitów" i „W sprawie ugody polsko-rosyjskiej", trzecia — „Jubileusz Apuchtina" była przekładem z rosyjskiego. Te wydano w Paryżu 1891 r.[1])

Ażeby wzmocnić wpływ korespondencyj do zagranicznych dzienników polskich zapłacono gazecie *„Wiener — allgemeine Zeitung"* za artykuły broniące sprawy polskiej.

Oprócz tych prac i zabiegów poruczono S. Krzemińskiemu opracowanie „Dwudziestu pięciu lat Rosyi w Polsce" (1863 — 1888), które wyszło we Lwowie 1892 r. (267 str.) i stanowią dotąd najlepszą monografję tego okresu. Wreszcie na mój wniosek W. Smoleński (Grabieński) opracował znany z siedmiu wydań podręcznik „Dziejów Polski". Jaki duch ożywiał nasze koło, po objaśnienie odesłałbym czytelników do mojej ogólnej broszury „Z domu niewoli", gdyby ona — jak się dowiedziałem — nie była taką rzadkością, że podobno jedyny jej egzemplarz znajduje się w bibljotece Ossolineum. Z niej przytoczę tu ustęp:

„Losy nasze od lat stu rozwijają się pasmem boleści, której psalmiści polscy zaledwie cząstkę wysnuli na swe obrazy wstrząsającego męczeństwa i łzawych skarg; niewola nasza była i jest cierpieniem strasznem nie tylko ze względu na srogość tortur, ale także skutkiem cywilizacyjnej wrażliwości narodu, który całym swoim rozwojem historycznym przygotowywał się do swobody. W walkach, w bezsilnem szamotaniu się z przemocą... mieliśmy chwile ciężkiego smutku i rozpaczy, a jednak w tej tragedji nie straciliśmy wiary, że żyjemy i nadziei, że żyć będziemy... Jak drzewo aloesowe, rzucone w ogień, wydaje woń mocniejszą, niż przedtem, tak naród nasz w chwilach nieszczęść dobywał z siebie dziwną moc życia. Ta nieprzerwana ani cudzą siłą i okrucieństwem, ani własnemi zawodami i bezsilnością nić wiary w dalszą ciągłość naszego bytu nie była i nie jest przędzą złudzeń, ale bądź trzeźwym wywodem naszych praw do istnienia, bądź bezwiednym instynktem narodu, który wielokrotnie na śmierć osądzony i zabijany, zgonu swego nie uznaje i nie czuje... Jeżeli we wrzawie zwycięskiego gwałtu ocaleje najsłabsze echo sprawiedliwości, zabrzmi ono kiedyś w naszej obronie. Nadzieją tą jak balsamem goimy nasze rany i wierzymy w zmartwychwstanie".

Na koszty korespondencji i wydawnictw książkowych składali się członkowie koła, ale te składki zwykle nie wystarczały: znaczne niedobory a niekiedy całkowite należności pokrywał Józef Natanson, pokrywał tak dyskretnie, że nie znaliśmy wysokości jego ofiar. Jak dalece był do nich chętnym i hojnym, przytoczę jeszcze jeden dowód. Głośną w swoim czasie była bohaterska walka Krożan, którzy zamknąwszy się w kościołku, oblężeni przez wojska rosyjskie, nie chcieli go oddać rządowi. Wytoczono im proces w sądzie wileńskim. Byli to ludzie prości, broniący się tylko słusznością i nieustraszoną odwagą. Ażeby ich ratować, zwróciliśmy się do najznakomitszego adwokata—Pepłowskiego. Przyjął propozycję, przyczem oblał nas gorącym potokiem patrjotycznej deklamacji, jak gdyby chciał dać próbkę swej płomiennej obrony. Nazajutrz jednak uwiadomił, że z powodu niezdrowia wyjechać do Wilna nie może — czyli — przeląkł się. Wtedy udałem się do drugiego głośnego adwokata — J. M. Kamińskiego. Zgodził się na 500 rb. i rzeczywiście wystąpił w sądzie, ale całą swoją obronę zredukował do powtórzenia z Ewangelji kilku zdań o przebaczeniu. Honorarjum zapłacił mu Natanson.

[1]) Jedyną wiadomość o działalności tego koła podał W. Smoleński w ogłoszonym po jego śmierci „Fragmencie pamiętnika". Z przykrością zaznaczyć muszę, żo nietylko popełnił on kilka błędów, usprawiedliwionych zatarciem się wspomnień z przed 40 blisko laty, ale nieco powiększył znaczenie swego udziału, a zmniejszył zasługę innych, między nimi Józefa Natansona. Tej historji nie umiał napisać bezstronnie i w stosunku do siebie — skromnie. Podobnie jego notatka o powstaniu „Ogniska", książki zbiorowej na cześć Jeża, jest zupełną nieprawdą.

Uważałem za swój obowiązek złożyć pamiątkę tych obywatelskich czynów na mogile człowieka, który je spełniał ze szczerego patrjotyzmu, bez popisu i rozgłosu, tak tajemnie, że one znane były tylko szczupłemu gronu. Szerzej wiedziano, że złożoną bezimiennie w „Kurjerze Warszawskim" ofiarę 25 rb. na cel dobroczynny „z powodu radosnej wiadomości" po obiciu Apuchtina odpokutował paroletniem wygnaniem do Wołogdy.

Nie mogę przy tych wspomnieniach powstrzymać się od uwagi, że nowocześni dziejopisowie, którzy wyszywają historję ostatniej ćwierci zeszłego stulecia na kanwie paszkwilu, apologji lub nieuctwa i którzy przedstawiają „pozytywistów" jako „politycznie obojętnych i pogodzonych z losem", jeśli zechcą zaprzestać swego rzemiosła a pragną je zastąpić sądem sumiennym, powinniby zaznajomić się z wartością charakterów i kierunkiem dążeń ludzi owej epoki. Przekonaliby się bowiem, że jej „apolitycy" byli politykami, że nosili w sobie i ogrzewali innych ogniem gorącego patrjotyzmu, że tworzyli i oddychali atmosferą czystych uczuć, wobec której obecne powietrze miazmatyczne jest duszącym i trującym wyziewem instynktów dzikich dusz przegniłych. Dzisiejsi jarmarkowicze polityczni, wydzierający sobie i innym sztandar niepodległości Polski z dopisaną obecnie przez nich swoją datą, niezdolni są nawet pojąć patrjotycznego idealizmu, zapału i ofiarności owych „pogodzonych z losem", walczących bez odpoczynku, bez rozgłosu i korzyści, które są dziś łatwo zarabianą nagrodą za podrobione świadectwa zasług w przeszłości i niezagrożone żadnem niebezpieczeństwem deklamacje o miłości ojczyzny. Sprzyja im to, że przedwojenni jej obrońcy tak milczą o swych czynach wobec tych antydatowanych bohaterów, jak milczeli wobec rządu rosyjskiego. Zachowali nałóg tajemnicy.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZOFJA KOWERSKA

ZŁOŻYLIŚMY do grobu na Powązkach jedną z tych niepospolitych Polek, które są chlubą i probierzem naszej cywilizacji narodowej. Probierzem dlatego, że one są próbą najwyższej wartości, jaką może zapewnić kultura, wytwarzając jednostki duchowe klasycznie piękne: o których Grek mówił, że są piękne dobrem, będące wzorem piękna moralnego. Wzór tego rodzaju kobiet, jak ś. p. Kowerska, śmiało rzec można, jest własnością dziejów duchowych Polski. Mówi się o nich czasem z okazji śmierci wtedy, gdy były wyniesione nad poziom talentem pisarskim. Ale nie ten talent jest znamieniem ich wielkości, lecz proporcja w budowie ich człowieczeństwa, wartość ich pełni duchowej. Talenty owszem bywają w mniej szczęśliwej kulturze zwyrodniałością, budzą nieraz podziw, ale częstokroć skupiać trzeba we wspomnieniu pośmiertnem całą uwagę tylko na ten talent, aby ukryć szpetotę człowieka. Tutaj mamy na myśli harmonję rozkwitu całej natury. Ś. p. Kowerska, gdyby nawet nie była pisarką, zasługiwałaby na upamiętnienie w historji jako przedziwny typ urody ducha polskiego.

Typy takie trafiają się w Polsce we wszystkich sferach, ale bodaj—choć to wygląda na paradoks — ten gatunek najtrudniejszy jest do osiągnięcia w sferach górnych cywilizacji, trudniących się sztuką i literaturą, bądź z powodu grożącej tu jednostronności rozwoju, bądź z powodu pokus społeczno-towarzyskich, wytrącających z równowagi życiowej. Ś. p. Kowerska była jednolita i harmonijna zarówno w życiu, jak i w literaturze. Nie brała życia za literaturę, ani też literaturą nie zastępowała sobie prawdy żywej. Była pełnym człowiekiem jako twórczyni roli swojej w rodzinie, społeczeństwie i w literaturze. Wszędzie była wychowawczynią i pełnym zaparcia sługą swego obowiązku.

Gdyby nie potrzeba wewnętrzna tej harmonji — przy jej talencie — głośno byłoby od niej w literaturze. Nie robiła nic dla popisu, nie mianowała się firmową entuzjastką, ani zawodową improwizatorką; nie wystarczały jej laury talentu pisarskiego. Miała w sobie, w owej ciężkiej dobie życia narodu niewolnego, misyjność trzymania od wewnątrz środowiska swego wpływami moralnemi, aby społeczeństwo polskie nie rozpadło się w gruzy. Naród polski budził podziw ludzi głębszych, że się pytali, czem się on trzyma całe stulecie, że żyje jako organizm. Oto trzymały go takie jednostki, jak Kowerska, odkarmiające go krwią swego ducha. Trzeba umieć nazwać nawet to, co za cud uchodzi, jeśli się chce zrozumieć, co to jest cud życia narodowego.

Ziemianka z lubelskiego, Przewłocka (ur. 1845 r.), po powstaniu 1863 r. jako młoda dziewczyna, dzieliła z bratem i matką los wygnania do Rosji i tam wyszła za mąż za zesłańca Stefana Kowerskiego. Po powrocie w Lubelskie pracuje na roli i, biorąc na siebie rolę owej „Siłaczki" Żeromskiego, ucieka się do pióra raczej dla rozszerzenia swego wpływu wychowawczego, niż z ambicji artystycznej. Gdyby chciała tyle poświęcać dla swej kultury literackiej, co Orzeszkowa, niewątpliwie przerosłaby ją miarą talentu. Większą część wysiłku kładła w prace popularne dla dzieci i ludu, bardziej przeto jest znana w dziejach oświaty, niż beletrystyki. A resztę sił pochłaniała służba bezpośrednia w środowisku najbliższem.

Społeczeństwo wtedy żyje, gdy ludzie możni duchem wytwarzają koło siebie żywe, krwią tętniące pomniki bez pomyślenia, aby z nich robić piedestały dla siebie. Wszyscy którzy żyją dla sławy, są wielkością społeczeństwa odświetną. Życie ś. p. Zofji Kowerskiej było świętem dnia powszedniego. Jej pomnik — w sercu narodu. Z. W.

Dla informacji notujemy poniżej trochę danych bibljograficznych. Jedną z pierwszych prac, która zjednała rozgłos ś. p. Kowerskiej, była książka „O wychowaniu macierzyńskiem" (I. nagroda na konkursie „Bluszczu" w r. 1879). Dalej następują: „Garbaty ideał" (1879). „O nieśmiałej dziewczynce", „Wet za wet". „O wychowaniu macierzyńskiem" (wydanie I. — 1879, wydanie II — 1894). „Rózia". „Timeo Danaos" (wyd. po roku 1889; drukowane również po francusku p.t. „*Wladimir Kourbski*"). „W Irlandji" (wyd. przed 1886, drukowane też po francusku w „*Messager d'Occident*" w 1886). „Dzidzia" (Lew i mysz. Bezdzietni. Z poezji szpitala. 1893). „Siostry" (1894), „Irena" (1894), „Ryngraf Miecznika" (1894) nowela w „Charitas"). „Iluzja". (1895). „O Marysi sierocie" (1895, nagrodzone na konkursie „Gazety Świątecznej"). „Pierwszy uczeń (1896, przedruk w „Tyg. Ilustr." w 1917) „Na służbie" (I. wyd. 1896, II wyd. 1925). „Znane dzieje" (Ploteczka. Niańka, Piotr i Paweł. 1896). „Losy Adasia" (Ofiara. One. 1898). „Bracia z wyboru" (1899). „Powieści". (Dla Anusi. Z życia Jasia. Na noclegu. Wydalona. 1899. Nagr. na konk. „Tyg. Ilustr."). „Z pamiętnika ornitologa" (1900). „Podlotek" (Wielki dyplomata. Dla wprawy. Chluba kraju. 1902). „W Suchowskim dworze" (1904). „Dzielny chłopiec" (wyd. I. 1922, II.—1925, III.—1925, IV.—1927). „W nowej ojczyźnie" (Na dożywociu. Serce matczyne. 1913). „Za wiarę" (I. wyd. 1889, II.—1916, III.—1919, IV—1922 V — 1927). „Prawdziwe bogactwo" (Największe dobro. Co może wódka, a co może kobieta. O jednej Anielce. 1917). „Pani Anielska" (1917). „Wydalona" (wyd. II. 1919). „Za głosem serca" (1919). „Najmłodszy" (1921). „Na cichej wsi" (1922). „Dwa opowiadania dla młodzieży" (Ofiara, Jantoś. 1925).

W Lublinie w r. 1925 grano utwór sceniczny zmarłej „O ziemię".

RUŚ CZY UKRAINA?

DO kwestji: „Ruś czy Ukraina", tak przekonywająco wyjaśnionej na łamach „Myśli Narodowej" (Nr. 5) przez p. St. Strońskiego, przyda się może drobny komentarz. W Wiedniu wychodziło do r. 1903 pismo propagandowe ruskie p. t. „*Ruthenische Revue*". Od owej daty czasopismo zmieniło tytuł na „*Ukrainische Rundschau*". W tej zmianie szyldu wyraził się nietylko nowy cel dążeń wydawców, ale i nowe, lepiej sprecyzowane środki. Celem staje się nietylko obrona interesów Rusinów (*Ruthenen*) w Galicji, gdzie ich pod tą nazwą znała biurokracja austrjacka, ale tworzenie Wielkiej Ukrainy z Kijowem i Lwowem. Poparcia w tym kierunku spodziewali się redaktorzy nie od nieokreślonej bliżej opinji europejskiej, lecz od nacjonalistów niemieckich, zwolenników wyrazu „*Rundschau*", których ucho niemile reagowało na francuski tytuł „*Revue*".

Sam Chmielnicki chciał w r. 1648 wyzwolić „wszystek naród ruski", a nie ukraiński, jego następcy występowali niekiedy w imieniu „*de la nation cosaque*" i nawet dziejopis krajów, które nazywa „Ukrainą-Rusią", Michał Hruszewśkyj, dopiero w r. 1906 puścił w obieg zarys dziejów narodu ukraińskiego. Wynikałoby stąd, że dziś owa nazwa obchodzi wśród Rusinów swe dwudziestopięciolecie, ale nie wynika, by Polacy popierali ich zachłanne tendencje w kierunku na Lwów przez wprowadzenie do swojej nomenklatury wyrazów „Ukraina", „ukraiński" i t. d.

K.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

POLSKA I ROSJA

SEJM polski ratyfikował pakt podpisany przez Estonję, Łotwę, Polskę, Rosję i Rumunję w Moskwie. Daliśmy już na tem miejscu wyraz sceptycyzmowi w stosunku do paktu Kelloga. Mimo to musimy stwierdzić, że tenże pakt podpisany przez Rosję i jej sąsiadów nie jest pozbawiony znaczenia. Oczyszcza on nieco atmosferę polityczną w Europie Wschodniej, pełną nieufności i podejrzeń, jest może pierwszym krokiem na drodze do uregulowania szeregu spraw w dziedzinie codziennych politycznych i gospodarczych stosunków między sąsiadami. Cieszy nas zwłaszcza, że podpisała pakt Rumunja; łagodzi to znacznie nieporozumienie, istniejące z powodu Bessarabji; można się spodziewać, że przyjazd posła Davili do Moskwy będzie początkiem nawiązania stosunków między Sowietami a Rumunją. Będąc związani sojuszem z Rumunją, jesteśmy tem wysoce zainteresowani. Wreszcie liczyć się musimy z faktem, że kapitał międzynarodowy przygotowuje się do podboju gospodarczego Rosji, że przeto stosunki gospodarcze i handlowe między Polską a Rosją nabierają znaczenia.

Poza temi wszystkiemi względami, wynikającemi z położenia aktualnego, są inne — natury historycznej— które sprawiają, że sprawa stosunków polsko-rosyjskich posiada dla Polski wielką doniosłość. Dzisiejszy ustrój gospodarczy Rosji i światoburcze dążenia jej obecnych władców w dziedzinie rewolucji światowej utrudniają niewątpliwie konsekwentną, na dłuższą metę obliczoną politykę. Nie możemy wszakże zamykać oczu na fakt, że mimo wszystko rząd sowiecki jest jednak rządem rosyjskim, to znaczy zmuszonym do liczenia się z historycznemi dążeniami Rosji, a nietylko agentem rewolucji światowej i reprezentantem komunizmu. Czasy obecne przypominają pod wieloma względami okres z przed lat trzystu, kiedy to w stosunkach między Polską a Rosją zaszły wypadki, decydujące o rozwoju tych stosunków na przeciąg trzech wieków.

Wydaje się nam, że — mimo wielkie i oczywiste trudności — są objektywne warunki do tego, by usiłowania, zmierzające do uregulowania na trwalszych podstawach stosunków polsko-rosyjskich mogły doprowadzić do pomyślnego wyniku. Jest to zapewne kwestją przyszłości, lecz już dziś każde posunięcie na terenie polityki naszej w stosunku do Rosji musi się liczyć z temi możliwościami. Interesujące na ten temat uwagi zamieścił w „Kurjerze Warszawskim" (17 marca) prof. T. B., zarekomendowany przez redakcję jako „wybitny uczony rosyjski, który był także, jako senator, jako wice-minister, czynny w polityce rosyjskiej z okresu przed-sowieckiego".

Poglądy autora dadzą się streścić w kilku zdaniach: między Rosją a Polską niema takiej sprzeczności interesów, któraby uniemożliwiała porozumienie; sprzeczność taka natomiast istnieje między Polską a Niemcami; Niemcy zagrażają także Rosji; stąd wniosek, że i Rosja i Polska powinny i mogą dojść do porozumienia i pokojowego współżycia. „I Łuck, i Równe, i Brześć nad Bugiem — pisze prof. T. B. — zbyt małe mają znaczenie dla sprawy rozwoju ekonomicznych, duchowych i politycznych sił Rosji. Kwestja ich utraty lub zdobycia przez Rosję, liczącą 150 miljonów ludności i olbrzymie terytorjum, jest zupełnie dla tej Rosji bez znaczenia i niewątpliwie nie może być podstawą takich czy innych kombinacyj politycznych. Nie dotykam tu sprawy b. stolicy W. Ks. Litewskiego, m. Wilna i województwa wileńskiego, które ze względu na narodowość większości ich odwiecznych mieszkańców, są obce Rosji".

Gdy się myśli o polityce rosyjskiej, to nie należy zapominać także o tem, że rozwój stosunków w Azji, wynikający z rozbudzenia ruchów narodowych wśród ludów azjatyckich, będzie bardzo poważnym, jeśli nie decydującym czynnikiem w tej polityce. Stoimy wobec zbyt wielu zagadek i niewiadomych, zarówno co do rozwoju stosunków wewnętrznych w Rosji, jak i co do rozwoju wypadków na ogromnych przestrzeniach Azji, byśmy mogli snuć jakieś przewidywania i wypowiadać określone poglądy. Jedno nie ulega żadnej wątpliwości — zagadnienie rosyjskie jest dla polityki polskiej zagadnieniem wielkiej wagi.

S. K.

NAUKA I LITERATURA

KRYTYCZNE WYDANIE „SAMUELA ZBOROWSKIEGO"

STANISŁAW Cywiński, tyle już zasłużony badacz literatury, za specjalność swoją, zdaje się, obrał zgłębianie tajników myśli filozoficznej w utworach naszych wielkich romantyków. Po dłuższej pracy nad ulubionym sobie Norwidem wziął się obecnie do badania twórczości mistycznej Słowackiego, szczególnie zaś zajął się „Zborowskim" i parę artykułów jego o tem dziele drukowała w swoim czasie i „Myśl Narodowa". Rezultaty swych badań zamknął w obszernym a gruntownym wstępie do wydanego niedawno krytycznego opracowania utworu [1]). Opracowanie to ujawniło wielkie zdolności filologiczne Cywińskiego; wydany przezeń tekst „Zborowskiego" jest pierwszym autentycznym tekstem tego dzieła, gdyż dotychczasowi wydawcy (Górski, Biegeleisen, Hahn, Pini, Kallenbach) bądź rozporządzali tylko kopją rękopisu (i to sporządzoną przez... pensjonarki!), bądź też mając w rękach autograf poety, nie

[1]) Juljusz Słowacki. Samuel Zborowski (Wydanie krytyczne). Opracował i wstępem poprzedził Stanisław Cywiński. Wilno. Nakł. Tow. Przyj. Nauk. 1928.

orjentowali się w porządku scen lub — co gorsza — mylili się w odczytywaniu miejsc poszczególnych, ba, nawet wprowadzali swoje własne dodatki. W ten sposób Cywiński kładzie dla literatury polskiej zasługę podobną tej, którą położył Pawlikowski, ogłaszając wzorową edycję „Króla—Ducha". Ponieważ, oczywiście, dzieło bruljonowe, jakiem jest ostatecznie „Samuel Zborowski", będzie zawsze przedstawiało szereg niejasności, przeto układ kilku warjantów może być i nadal jeszcze sporny, to też nie dziwota, że między wydaniem Cywińskiego, a zapowiedzianem wydaniem Kleinerowskim zachodzić będą pewne — drobne zresztą — różnice.

Przedmowa wydawcy, nosząca tytuł „Misterjum genezyjskie o Polsce" ma treść nader różnorodną, ujętą jednak w jednolity szereg myślowy. Najpierw omówione zostały okoliczności towarzyszące powstaniu dzieła; poruszono tu ponownie, podjętą niegdyś przez Witkowskiego, kwestję stosunku „Zborowskiego" do „Genezis z Ducha", ustalając przy tem czas powstania „Zborowskiego" na koniec r. 1844 (sądzę, że należałoby jednak pozostać przy terminie *ad quem* 21 kwietnia 1845, podanym przez Kleinera). Następnie idąc równolegle z akcją samego poematu, niejako homiletycznie, wydawca zatrzymuje się kolejno nad głównemi elementami treści oraz koncepcji poszczególnych scen. W związku z dwoma pierwszemi aktami wyjaśnia więc rolę Eoljona, następnie pojmowanie — przez poetę — preegzystencji duszy, twórczości ducha i cudu. Dłuższy rozdział poświęcony został zasadniczej kwestji, budzącej dotąd tyle sporów — znaczeniu postaci Lucyfera; postać ta skomplikowana psychologicznie, zyskała tu, na szerokiem tle porównawczem, nowe a wyraziste oświetlenie. Koncepcja „trójcowości" — zdaniem mojem — zasługiwałaby na szarsze omówienie, zważywszy zwłaszcza, że „Samuel Zborowski" jest bodaj pierwszym utworem Słowackiego, gdzie koncepcja ta w zdecydowanej, choć jeszcze mętnej i nieskrystalizowanej, występuje postaci.

Akt III i IV [2]) należałoby zapewne potraktować szerzej, zwłaszcza uwydatnić ich stanowisko w budowie poematu; pomimo wszelkich bowiem niedopowiedzeń lub dygresyj (tak nieraz obszernych) oraz powtórzeń, jest to przecie kompozycyjny pomost między wizjami Eoljona z aktu I-go i sceną sądu w akcie V. Sam motyw „koralowej trumny", wracający niemal w formie refremu, jest już wiązadłem dość silnem—oczywiście nie logicznie, lecz treściowo — podobnie jak motyw pierścionka z krwawnikiem w „Śnie srebrnym Salomei", z którym ma zresztą tyle podobieństwa. Ze „Snem srebrnym" łączy się bowiem „Zborowski" (pisałem już o tem kiedyś mimochodem) nader silnie, jest niejako jego dalszym ciągiem — jak tamten kończył się „zdrowiem" ku czci Salomei, tak ten zaczyna się podobnym toastem, z ukrytą nawet grą słów („moje zdrowie" — *Salo-mea*). W tej zagadkowej pieśni, kończącej akt I „Zborowskiego", należy szukać objaśnienia słów o „synu Apollina z córką Amfitryty". Córką Amfitryty, jak z mitologji wiadomo, była Tetyda, matka Achillesa, z którym od dzieciństwa aż do ostatnich niemal rzutów przedśmietnego raptularza zwykł był się porównywać sam Słowacki. Duch niewieści „wodny" [3]) kombinował się stale u Słowackiego z symbolem księżycowym (p. komentarze Pawlikowskiego do „Króla-Ducha"); nadana tej „Dianie" nazwa „Heljany" wzięta jest również (o czem swojego czasu też pisałem) z mitologji greckiej—jest to poprostu nieco zmienione imię „pierwszej z różnych piękności Hellady", t. j. Heleny, którą utożsamiono z Seleną, czyli boginią księżyca; postacią tą, jak świadczą listy i raptularze, interesował się poeta głównie w związku z drugą częścią „Fausta", skąd pewne motywy przeszły do „Zborowskiego".

Akt V — wraz z końcową sceną aktu IV — jedynie usprawiedliwiający nadaną poematowi nazwę „Samuel Zborowski" — pobudził wydawcę do zbadania tła dziejowego dramatu. Idąc za Hahnem, twierdzi Cywiński, że „Wybór pamiętników o Samuelu Zborowskim" — wydany w 1844 r. przez Siemieńskiego „decydująco wpłynął na Słowackiego, zwracając jego uwagę na postać wielkiego banity i pobudzając go do uczynienia ze Zborowskiego symbolu dawnej wolności polskiej". Twierdzenie to mylne, skoro już w „preliminarjach podróży księcia Radziwiłła Sierotki", wydanych w r. 1840, spotykamy dłuższą wzmiankę o Zborowskim i takie właśnie sformułowanie jego stanowiska dziejowego.

Najobszerniej ujął Cywiński kwestję mesjanizmu w „Zborowskim", zwracając uwagę — i słusznie — na trudność upostaciowania Samuela jako symbolu Polski. Sporo też miejsca—i to nie w jednym tylko rozdziale—zajęła sprawa stosunku Słowackiego do Mickiewicza, nie wyczerpana jeszcze dotąd zupełnie, pomimo gruntownej na ten temat pracy Kridla. Rozdział porównawczy: „Samuel Zborowski a Król-Duch", acz bardzo ciekawy i dużo przynoszący cennych spostrzeżeń, nie wydaje mi się konieczny, chyba że autor studjum chciał siłą kontrastu dać nam „wykres" całej drogi, jaką odbył Słowacki od pierwszych chwil krystalizacji mistycznego światopoglądu aż do momentu zupełnego skrystalizowania; pozatem jednak „Zborowski", będący właściwie bruljonem, zarzuconym przez poetę, pośrednio tylko wiąże się z „Królem-Duchem", którego dalsze rapsody, być może, miały zająć się i postacią wielkiego rokoszanina — bezpośrednio jednakże ogniwa „poematu genezyjskiego" przedstawiają się następująco: „Genezis z ducha" — „Teogonja" — „Król Duch".

Zestawienie sądów krytyki literackiej oraz bibljografja, zamieszczona na końcu rozprawy, są wielce pożyteczne. Niepotrzebnie tylko zawielki honor uczyniono rzeczom tak błahym, jak C. Jellenty i kilku innych. Natomiast godziło się wspomnieć sąd Żeromskiego (o inscenizacji „S. Z.") oraz kilka, widocznie przeoczonych, poważnych prac prawdziwych znawców Słowackiego.—Mimo postawionych tu i poprzednio zarzutów—nie zasadniczych zresztą — stwierdzić jeszcze raz powinienem, że lektura przedmowy Cywińskiego, będącej owocem sumiennego wysiłku myślowego, dała mi wiele chwil prawdziwej satysfakcji.

JÓZEF BIRKENMAJER

[2]) Podział na akty wprowadza Cywiński, zgodnie z częściową tradycją, tylko w omówieniach poematu; w samym tekście—zgodnie z autografem—podziału tego nie zastosował.

[3]) Mickiewicz w Prel. Paryskich nazwę „Tetys" wywodzi od „cieczy".

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Grono osób, czczących pamięć zmarłego przed kilku laty znakomitego lekarza i zasłużonego działacza narodowego Zbigniewa Paderewskiego, przystąpiło do założenia (w formie spółdzielni) tow. wydawniczego p. f. „Patria". Początkowy kapitał, zebrany przez założycieli, nazwano funduszem imienia Paderewskiego. Do tego funduszu przybywać będą nowe, które spółdzielnia ma nadzieję pociągnąć w krótkim czasie, niewątpliwie bowiem zadania takiej spółki nakładowej w czasie wzmożonego ruchu umysłowego znajdą poparcie w kołach narodowych. Na początek spółdzielnia wydaje bardzo pożyteczną książkę prezesa stronnictwa Narodowego, znakomitego publicysty, b. senatora Joachima Bartoszewicza p. t. „Zagadnienia polityki polskiej". Będzie to książka orjentacyjna dla wszystkich, wyjaśniająca główne zasady polityki narodowej. W tych dniach ukaże się z pod prasy.

*

Trzeci tom wydawanej z niezwykłą pracowitością przez prof. Adama Skałkowskiego „Korespondencji Księcia Józefa Poniatowskiego z Francją“ (Poznań 1928), obejmuje 218 listów ks. Józefa z lat 1810—11. Tom ten, podobnie jak poprzednie, oparty jest na badaniach przeprowadzonych w archiwach paryskich, drezdeńskich, rapperswilskich i polskich. Adresatami są w lwiej części marszałek Davout a ponadto ks. Fryderyk August saski, minister Maret, Napoleon i inni. Przeważnie listy te odnoszą się do działalności polskiego ministerstwa wojny, choć również rzucają wiele światła na współczesne wypadki polityczne. Malują one pośpieszne przygotowania wojenne, prowadzone w Księstwie Warszawskiem, wystawiając pochlebne świadectwo talentowi organizacyjnemu ministra wojny, ks. Józefa. Z niesłabnącą energją zabiega w tym czasie Poniatowski około powiększenia stanu liczebnego armji, podniesienia jej wyćwiczenia i zdolności bojowej, umacnia twierdze w Zamościu, Toruniu i Modlinie. Z drugiej strony jego listy do Davouta wskazują na rozpaczliwy brak pieniędzy w wojsku i stąd płynące zaległości w żołdzie, brak żywności, mundurów, koni, i sprzętu wojennego. Mnożąca się wskutek tego dezercja rekrutów była poważnem niebezpieczeństwem dla dyscypliny armji Księstwa Warszawskiego. Obraz ten nabiera tem groźniejszych barw, skoro dodamy, że każdy nieomal list Poniatowskiego przynosi wiadomości o zbrojeniach Rosji i o koncentracji wojsk na granicy. Dla historyka dziejów politycznych szczególny interes przedstawiają te listy (stosunkowo nieliczne), która omawiają agitację antynapoleońską, prowadzoną wśród Polaków przez Aleksandra I.

*

Po zbiorku poezyj „Tętno“, wydanym nakładym krakowskiej „Zwrotnicy“, nowa książka Jana Brzękowskiego „Psychoanalityk w podróży“, powieść wydana przez księgarnię F. Hoesicka, ma dążność do przejawienia nowej formy literackiej w kierunku migawkowości techniki. Próżnoby jednak doszukać się rezultatu bardziej serjo, czy to w psychologji wprowadzonych postaci, czy, mimo pozorów, jakiegoś ideowego, konsekwentnie wykonywanego zamysłu. Notatki nerwowca, lekkoducha, nazwane powieścią, są świadomem fantazjonowaniem na kanwie życiowych obserwacyj, naprzekór ich logice. Wprawdzie dowolność ta już *a priori* nie zobowiązuje autora, jest zręcznym, groteskowym figlem i trzeba przyznać interesującym. Interesującym zresztą tylko ze względu na przyszłość, czy też talent autora jako tako ustatkuje się i skrystalizuje artystycznie.

*

Wiedzą dawni współpracownicy delegacji polskiej na kongresie Wersalskim *quantae molis erat* w opinji świata *Polonam condere gentem.* Wiedzą nasza poselstwa, ile kosztuje propaganda sprawy polskiej na terenach objętych propagandą współzawodniczącą lub przeciwną. Dużo się pisało o brakach i błędach naszej roboty propagandowej. Otóż byłoby jeszcze jednym błędem nie do darowania, gdybyśmy nie podali ręki usiłowaniom przyjaciela, który bez zachęty ani pomocy od swego rządu, bez oparcia w jakiejkolwiek organizacji czy klice, powodując się tylko serdeczną sympatją do Polski i dobrem zrozumieniem interesu własnego kraju, stworzył nowy typ pisma mającego służyć naraz Francji i Polsce p.n. „*Le petit Courrier de France et de Pologne*“.

Pan Bernard Hamel nadał się, jak rzadko kto inny, na pośrednika między naszemi dwoma narodami. Subtelny i głęboki znawca francuszczyzny, autor paru książek metodycznych z tego zakresu, („*La génie de la langue française*“) poeta pełen entuzjamu dla „Polski Nieśmiertelnej“ (*La Pologne Immortelle*), jak widać z pierwszych trzech numerów miesięcznika, postanowił zaznajamiać rodaków z przeszłą i teraźniejszą kulturą Polski, a zarazem wskazywać nam, gdzie mamy szukać skarbów rzeczywistej, nietylko bulwarowo-paryskiej kultury francuskiej. Mówią tedy ze stworzonej przezeń trybuny: W. Sobieski o ratowaniu Belgji przez Polskę w r. 1830 — 31, Fryd. Zoll o naszem prawie autorskiem, Jul. Nowak o wycieczce polskich parlamentarzystów do Francji, Ksaw. Pusłowski o dramatach Rostworowskiego, Helena d'Abancourt o krajobrazie polskim, ks. P. Dawid o księżniczce z domu Piastów, co była „cesarzową Hiszpanji“, a potem hrabina Prowansji i t. d.

Redaktor udziela rad, co warto czytać z nowości francuskich, i pomaga czytelnikom obu narodowości w rozwiązywaniu zawiłych kwestyj językowych.

Na razie „Kurjerek Francusko-Polski“ choć bardzo ciekawy, przedstawia się skromnie i nic dziwnego: tworzy go jeden człowiek z garstką przygodnych współpracowników. Pomóżmy mu wszyscy, którzy wierzymy w duchowe pobratymstwo Francji i Polski oraz pragniemy wspólnego ich dobra, a pismo Hamela otrzyma sztab redakcyjny, obfitą treść — i zasłużony rozgłos.

Prenumerata roczna kosztuje zł. 10, jeden zeszyt zł. 1 Adres radakcji: Kraków, ul. Czysta 12.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*La Vie du Maréchal de Richelieu*“ wyszła w zbiorze „*Vies de Hommes Illustres*“, którego nakładcą jest „*Nouvelle Revue Française*“. Autorami tej nowej biografji są pp. Robert Honnert i Marcel Augagneur, którzy z widocznem zamiłowaniem oddali się przestudjowaniu tej epoki XVIII-ego wieku, pełnego cynizmu, ale i wyrafinowania. Przed oczami czytelnika przesuwają się też sławne osobistości: Regenta, Ludwika XV-ego i jego faworyt, jak pani de Chteauroux, de Pompadour oraz sławnej du Barry, która z ulicy prawie przechodzi wprost do królewskiej alkowy. A ponad niemi wszystkiemi góruje oczywiście postać potężnego Richelieu, chciwego zarówno uciech życia jak i sławy, a umiejącego podbić sobie nietylko kobiety, ale i mężczyzn.

*

Nagroda literatury kolonjalnej przypadła w tym roku p. Georges Groslier. Na czele tego *jury* stoi obecnie p. Claude Farrère, ale zbiera się ono na malowniczej Ile—St.—Louis w Paryżu, w mieszkaniu Pierre Mille, byłego prezesa tego komitetu. Nagrodzona została książka p. t. „*Retour d'Argile*“ (Emile Paul edit). Bohater tej powieści, inżynier udaje się wraz ze swą żoną, do Indochin. Jednakowoż Paryżanka jest absolutnie niezdolna do przystosowania się do nowych warunków egzystencji, żyją jedynie wspomnieniami wielkomiejskich przyjęć, toalet, *dancing*'ów. I siłą rzeczy wybucha dramat: mąż ją zaniedbuje dla innej kobiety, kobiety krajowej. Ta analiza „naturalizacji“ uczuć przeprowadzona jest w sposób ciekawy. Rozwój duży miłości egzotycznych byłby też, zdawałoby się, zdaniem autora, spowodowany w dużej mierze przez „żony zachodnie“. Dookoła tej całej intrygi, p. Groslier z prawdziwym entuzjazmem odmalowuje nam obrazy krain odległych, a pełnych wspomnień i dzieł sztuki. Należy bowiem również dodać, że autor „*Retour à l'Argile*“ jest założycielem muzeum w Pnom-Penh, gdzie zresztą otworzył także szkołę dla zachowania starych tradycyj oraz tamtejszych tak charakterystycznych tańców. P. Groslier jest również autorem pierwszorzędnego studjum o świątyni Angkor i przygotowuje obecnie nową powieść p. t. „*Nuit d'Angkor Vat*“.

*

P. Maurycy Larrouy wyspecjalizował się poniekąd w powieściach morskich. Autor „*Sirene et Tritons*“ i „*Coup de roulis*“, które obecnie grane jest na jednej ze scen paryskich, wydaje nową książkę „*La Trident*“ (Editions de France), której akcja toczy się na wodzie i na lądzie. Autor przeciwstawia w niej pracę kapitałowi, rybaków potężnemu Towarzystwu, które tych pierwszych eksploatuje. Z jednej strony mamy posiedzenia bogatych finansistów, z drugiej zebrania publiczne w karczmie, gdzie Cloquard, ajent sowietów, stara się rybaków nawrócić na religję Lenina. W tę opowieść wpleciony jest również zręcznie romans oraz szereg scen o żywym kolorycie morza i ludzi, którzy na niem albo też z niego żyją.

*

„*La Lumière, roman d'une cecité*“. Flammarion edit. Jakkolwiek ślepą w tej powieści będzie jej bohaterka, Pauline Laurence, poetka i rzeźbiarka, to jednakowoż wiemy, że i sam autor p. Binet Valmer przeszedł przez gehennę ślepoty, gdyż przez czas jakiś stracił wzrok. Jego książka nosi też na sobie, ale w sposób niezmiernie dyskretny, znamię tych cierpień. Lady Laurence może ozdrowieć, ale pod warunkiem radykalnego zaniechania wszelkich trucizn, jak papierosy, alkohol, opium, których niewidoma zrazu nie może i nie chce się wyrzec. Uczyni to dopiero wtedy, gdy dowie się, że jej mąż nie przeżyje tej powolnej a dobrowolnej agonji. Powie zaś jej o tem młody sekretarz Jimmy. Instynkt życiowy budzi się wtedy w Paulinie i samej sobie wypowiada walkę, z której wychodzi zwycięsko. Młoda kobieta nietylko odzyska wzrok ale też i siły moralne i rozpocznie nową egzystencję. Ofiarą pada Jimmy, kochający się do warjactwa w lady Laurence, który kończy życie, wieszając się. Do tego patetycznego tematu, autor wplótł cały szereg ciekawych momentów psychologicznych ewolucji woli oraz dla ożywienia swego opowiadania wprowadził drugorzędne, a bardzo charakterystyczne postacie. Powieść p. Binet Valmer, opartą na tym wzruszającym drmacie, cechuje subtelność uczuć i finezja stylu.

TEATR

KRÓL STEFAN BATORY

CZASY się zmieniają, nic się w historji nie powtarza, a jednak historja jest mistrzynią życia. Niema w tych stwierdzeniach sprzeczności, bo zmieniają się formy, ale treść jest ta sama, ten sam człowiek.

Gdyśmy w piątek 22 marca patrzyli w teatrze Narodowym na scenę sejmu w roku 1585, obradowawłaśnie na ulicy Wiejskiej sejm dzisiejszy. Przedstawiaciel rządu trzecią godzinę już mówił, prezentując wykresami na tablicach rzeczywistość polską w sposób zgoła nowożytny. A jeszcze rzeczywistsza rzeczywistość usta-

mi posłów narodowych przeciwstawiała wykresom fakty raczej z psychologji i moralności publicznej, które sprawiają, że spada kurs polski.

Na owym sejmie z przed trzystu kilkudziesięciu lat była mowa głównie o psychologji i moralności publicznej. Krzysztof Zborowski przyniósł z sobą obraz, zrobiony na obstalunek. aby szlachcie *ad oculos* sprezentować tyranję władzy narodu i plastyką zdarzeń demagogicznie w uczucia uderzyć, w co się obraca „złota wolność": oto brat Samuel na pieńku głowę postradał za to, że tej wolności indywidualnej bronił. A król Stefan Batory orzekł: niech zostanie w sejmie ten obraz, owszem niech posłowie widzą, że taki los będzie każdego, kto podniesie rękę na wolność Rzeczypospolitej.

— Celem Rzplitej jest pożytek ogólny i dobro narodu, nie zaś hodowanie zachcianek osobistych.

Czasy się zmieniły, stosunki niemal na wspak, a jednak rzecz została ta sama. Niema na sejmie króla, ale jest sam jego mocodawca — naród. Sztuka zaś nie na usługach Zborowskich zostaje, lecz w posłuchu u serca narodowego i czuje się powołana przemawiać do narodu królewskiemi słowami przestrogi:

— Celem Rzplitej jest pożytek ogólny i dobro narodowe!

Wówczas przed wiekami obraz historyczny losu Samuela malował ktoś bezimienny, dziś wystawia go publicznie dramaturg w innym celu. Jest na to teatr Narodowy. A naród, słuchający tej sztuki, powiada w duszy: Niech ten obraz zostanie i świadczy, że dzieje są dramatyczne, bo łamią tych, którzy się narodowi przeciwstawiają. Sztuki nowożytnej powołaniem w większym, niż kiedykolwiek, stopniu jest tej świadomości dramatu dziejowego dawać wyraz.

Oto psychologja przedstawienia obrazu historycznego „Król Stefan Batory" Stanisława Szpotańskiego. On to bowiem jest autorem. Dotąd publicysta i powieściopisarz—wszedł na drogę dramaturgji.

Mówiłem dotąd o psychologji przedstawienia i na niej kładę nacisk, bo czyż sprawozdawca teatralny nie ma obowiązku widzieć teatru samego, jako zdarzenia historycznego z widownią i salą razem? Na przedstawieniu sztuk historycznych w Warszawie widzę zawsze na pierwszym planie konflikt między publicznością a pośrednikiem artystycznym, którym jest sfera literacka. Ten pośrednik przychodzi do teatru po co innego niż publiczność, wyzbył się możności bezpośredniego odczuwania dramatu: mędrkuje estetycznie, jest uczniem pewnej szkoły. A ta szkoła kazała mu gardzić historją, jako materją pewnego myślenia i uczuciowania.

Na sztuce historycznej cały ten świat literacki i jemu bliski jest z góry dla niej źle usposobiony i na sali robi odpowiedni nastrój. Ludzie najliberalniej znoszący wszelkie tendencje dzieł „przyszłościowych", nawet utopijne, nawet wręcz bezsensowne, o pomstę do nieba wołają na samą myśl, że autor dramatu „przeszłościowego" usiłuje wyciągnąć z doświadczeń dziejowych jakowąś naukę. Jeżeli ten dydaktyzm z każdej historji zalatujący, tyczy tez ogólnych, które ogół rozumieć i pamiętać powinien, wtedy z politowaniem napomyka się o „Kościuszce" Anczyca lub o „Obronie Częstochowy".

Za najgorszą z tendencyj trzeba uważać tendencję sprzeciwiania się tendencji samego życia. To życie przychodzi do teatru z pewnem naładowanem uczuciowem, a w tym ładunku dominującą rolę odgrywa potrzeba nawiązania się duchowego do przeszłości.

Dusza polska czuje dziś potrzebę nietylko zrastania się w przestrzeni po okresie kordonów, ale też zrastania się w czasie. Cóżby warta była twórczość narodu, gdyby się nie czuł jednością w czasie? Dusza polska odszukuje się w przeszłości i tam szuka potwierdzenia swego poczucia, że jest dzisiaj.

Zapewne, wiele jest teraz w literaturze polskiej elementu obcego, który żadnych tęsknot do polskiej przeszłości nie odczuwa i temu trudno się dziwić, ale to nie powinno być nakazem mody dla pisarzy pochodzenia polskiego. A że taki teror mody się zdarzył, to dowód, że świat literacki wyjałowił się z pierwiastku uczuciowego i że źle kieruje kulturą polskiej Warszawy. Krzywiono się na Brończyka za „Hetmana Żółkiewskiego", krzywią się na Szpotańskiego, ale nie samą wartość artystyczną mają na względzie; sprawa jest ogólniejsza: zepsuto atmosferę historyczną wogóle; w Warszawie nie przyjmuje się już i nie zakwita nawet Wyspiański i Słowacki. Stają się tu niezrozumiali, zbarokowani, bez przekonania i serdeczności wprowadzani. To są bajki, że w Warszawie istnieje kult wielkiej sztuki polskiej, że może wogóle kwitnąć sztuka w środowisku, wypranem z patosu dziejowego.

To najbliższe środowisko literackie odgradza publiczność od sztuki narodowej. Na dramacie historycznym Szpotańskiego publiczność biła oklaski ponad głowami tego wieńca literackiego, ilekroć schwytała motyw, który może odkarmić jej uczuciowość. Publiczność daleka jest od literackiej podejrzliwości i taktyki, wyławia naczelne idee z utworu i one stają się bohaterami sztuki historycznej. Takim bohaterem w „Batorym" jest idea wiecznego trwania narodu i jego dobra jako naczelnej zasady moralnej w polityce. Idea ta wcielona jest w Batorego i Zamoyskiego, których zobaczyliśmy w glorji obrońców tej zasady. Dramatyczny pierwiastek tkwi w psychologji rzymianina Zamoyskiego, który całą duszę wyprzątnął z osobistych motywów, aby z niej uczynić aparat interesu narodowego. Że publiczność się wzrusza tą koncepcją, że czuje jeszcze ideał cywilizacji łacińskiej, że nie jest jeszcze zdemoralizowana demagogją i prywatą, że czuje majestat narodu i jego dziejów, —za ten jeden widok darowałbym największe winy artystyczne, na ten jeden cel próbowania uczuć żywych pokolenia przeznaczyłbym scenę teatru Narodowego z pominięciem celów innych.

W tym wypadku nie trzeba win darowywać, bo sztuka Szpotańskiego stoi na wysokości literackiej należytej. Stworzyła ją ręka sprawna, świadoma środków i celów. Cel też osiąga: od początku do końca jest interesująca i dobrze zbudowana. Autor nie miał zamiaru innego, niż ten, który widzimy. Nie tai, że chce być ścisły historycznie i tem właśnie zagwarantował jej wartość. Inne oczywiście wartości są w „Zborowskim" Słowackiego, ale też tam nie myślimy o historji, lecz o Słowackim. Szpotański chciał przypomnieć dramatyczność, tkwiącą w dziejach samych. A jak to chlubnie dla cywilizacji, że można wprowadzić na scenę ludzi dawnych, którzy swemi autentycznemi słowami uczą nas praw dzisiaj obowiązujących.

Wykonanie sztuki Szpotańskiego w rolach głównych odpowiadało wyżynom, na jakichby się chciało widzieć teatr Narodowy. Batorego mógł odmalować tylko Solski i zrobił to znakomicie. Przy tej okazji warto zwrócić uwagę, jak różne gałęzie sztuk na siebie pracują. Teatr w sztukach historycznych żyje wyobraźnią plastyczną Matejki; wszystkie figury, poczynając od Batorego, skopjował z Matejki: Zamoyjski, Possewin, posłowie moskiewscy. Wspaniały był Węgrzyn w roli Samuela Zborowskiego. Ogół artystów pod wpływem środowiska literackiego jest tak zmodernizowany, że nie może z siebie wydobyć stylu staropolskiego.

Całość wypadła dobrze i może liczyć na powodzenie.

Z. W.

OFENSYWA

GŁOSY Z ZA GROBU

SPOKOJNY, wytrawny publicysta, a krytyk światły i subtelny p. Adam Zagórski rzadko głos zabiera. Podczas gdy inni skrupulatnie piętrzą w tomach swoje flirty z Melpomeną czy Perwersją, p. Zagórski nie wydał dotychczas ani jednego tomu swoich poważnych studjów czy krytyk. Szkoda. Szkoda atoli, że czasami zabiera głos w sprawach, w których nie ściśle się orjentuje. Niedawno czytaliśmy jego pióra szkic p. t. „Reymontowskie słowo o Komendancie" (na wstędze wspomnień). Okazję do tego dał mu świeżo wydany tom kilkunastu fragmentarycznych dokumentów, zebranych z wielu lat pod tytułem „Krosnowa i świat". W tomiku tym znalazł się też i nowelistyczny szkic, napisany na Boże Narodzenie do numeru świątecznego „Tygodnika Illustrowanego", opisujący defiladę na Błoniach Krakowskich, gdzie jest kilka zdań następujących:

„Komendant, wsparty na szabli, nieco pochylony, przyczajonemi oczami lwa przebiera maszerujące szeregi...

„Wojenko, wojenko! cóżeś ty za pani!"

Wionęła bitewna zgroza... Rozśpiewały się całe Błonia... Śpiewali z takiem uniesieniem, radością i szałem, że wezbrana piosenka przetapiała się jakby w ognisty strumień lawy, bijącej aż pod słońce...

Tylko Komendant stał nieporuszony, zwarty na koniu i, wspierając się na szabli, patrzał w przechodzące szeregi, jakby oczyma przeznaczenia".

Ani słowa więcej. To też nawet p. Zagórski nie stara się suggerować czytelnikom, że śp. Reymont odnosił się do J. Piłsudskiego stale i do końca życia nie negatywnie, ale w każdym razie tytuł daje temu „Reymontowskie słowo o Komendancie". Tymczasem na tym jednym fragmencie żadnej legendy nowej i nowego kłamstwa historycznego budować nie można. My wszyscy, którzy z śp. Reymontem stykaliśmy się i przed wojną, podczas i po wojnie stale, wiemy dobrze, co o tem sądzić i jak ten jeden szkic reminescencyjny w niczem nie zmienia tego faktu, że Reymont, w ostatnich latach zresztą Piastowiec i Witosa przyjaciel, do wszystkiego, co związane było z osobą w nowelce nakreśloną, odnosił się raczej krytycznie, delikatnie mówiąc: krytycznie. To samo zresztą da się powiedzieć i o innych wielkich pisarzach tej ery, o śp. Żeromskim, Kasprowiczu, Micińskim. Jak Reymont w „Księżniczce", jak Miciński w szeregu artykułów, jak Kasprowicz w swoich satyrach, przemówieniach i „Księdze Ubogich", tak wreszcie Żeromski w *Epitaphium* Adasia, w powieściach, w korespondencjach niedwuznacznie dawał poznać, co o tem myśli. Znana jest nam wszystkim dobrze historyczna scena w Zakopanem i znany domek i znani świadkowie tragicznej tej sceny, jaka zaszła między Żeromskim a Piłsudskim.

Na nas, nie tak znowu licznych, którzy w różnych czasach przyjaźniliśmy się z wielkimi zmarłymi, leży obecnie bezwzględny obowiązek, kategoryczny imperatyw, aby te sprawy i ten stosunek raz jasno i śmiało wyświetlić. Niema tu nic do ukrywania. Prawda jest przykazaniem najwyższem.

Stosunek wielkich trzech zmarłych pisarzy polskich t.j. Reymonta, Żeromskiego, Kasprowicza do J. Piłsudskiego był z małemi intermedjami i przerwami stale negatywny i to w wysokim stopniu negatywny. Osobiście miałem sposobność stwierdzić to tylokrotnie, że pod tym względem nie istnieją dla mnie minimalne, żadne wątpliwości. Każdy z nich wielokrotnie aprobował to wszystko, co w tej sprawie było pisane w pismach „Liberum Veto" i „Myśl Narodowa". Podnieta i sankcja moralna z ich strony dodawała mi nieraz bodźca i dynamiki. Trzeba atoli, żeby do tego problematu ustosunkowali się też aktywnie i inni świadkowie, mający w tej sprawie cośkolwiek ważkiego do powiedzenia i zeznania. Położy to bowiem kres wszelkim próbom i zakusom ugniatania i fałszowania rzeczywistości merytorycznej, a nawet tak próbnym poczynaniom w tym kierunku, jak p. A. Zagórskiego artykuł w „Kurjerze Czerwonym".

Stawiam sprawę jasno i prosto: Od roku 1915 aż do swojej śmierci wszyscy trzej wielcy pisarze naszej generacji tak do „idei" jak do „czynu komendanta" odnosili się negatywnie i stali w obozie Ententowym, antyniemieckim.

Zapytuję: Kto jest w możności udowodnić, że od r. 1915 aż do śmierci: Żeromski, Reymont, Kasprowicz w jakikolwiek sposób aprobowali: „ideę" i „czyn komendanta"?

TAKŻE „MONOGRAF"

Prasa obozu panam sanacyjnych zamieściła następujący telegram Pata z dnia 16/3.

„Francuska monografja
o Marszałku Piłsudskim

Paryż. Nakładem znanej firmy Simon wyszła obszerna monografia o marszałku P. pióra p. Zygmunta Klingslanda obejmująca blizko 200 stron."

Na czem polega szwindel i oszustwo? Na nagłówku. Nie jest to bowiem „francuska monografja" tylko na francuski tłumaczona, a napisana przez Judo-słowianina, dotychczas specjalisty w krytyce malarskiej p. Z. Klingslanda, nowa bajdura na znany temat. Że atoli aż 200 stron! no to *opusculum* musi być kosztowne, a druk i honorarjum musiało sporą sumkę wynosić; reklama także. Czy przypadkiem nie za dużo się conieco ekspensuje na tego typu propagandę czysto osobistą. No i to poprostu jakby w wodę wrzucił. Tyle, że sobie p. Klingsland nieco długów zapłaci i dziewczynkom coś postawi. Ale nie można tego było bez druku? Przecież takiej książki żaden żywy Francuz jako żywo nie kupi. Roześle się kilkaset egzemplarzy gratisowych po redakcjach i ministerjach. Czy wy wierzycie, że takiej monografji ktoś dziesięć kartek rozetnie? Przecież to makulatura. Woźny kancelaryjny odda to na podpałkę w piecu. Inny potnie na równe kwadraty...

Ale w to, żeby jeden Europejczyk w Europie przeczytał dziesięć stron tego, w to chyba jednak nie wierzycie. Więc poco tedy? *Cui bono?* Co komu z tego przyjdzie? Kto się tem takiem interesuje? Kogo to może zająć? Czy jest kto, który tego wszystkiego niema już po same dziurki do nosa? Więc poco? Na co? Na co w latach takiej nędzy, takiej ciasnoty pieniądza wydawać rokrocznie takie masy złota czy srebra na reklamowanie, które w Europie nie natrafi na żaden resonans, tylko mówiąc jeszcze delikatnie, spotyka się z głuchem milczeniem a często i z widoczną pogardą! W ostatnich tylko miesiącach moc pieniędzy kosztowała „monografja rzymska" (*sic*) napisana przez „Włoszkę" Collanti, a w gruncie rzeczy żydówkę z Łodzi. Potem dużo pieniędzy poszło na monografję angielską (Dudley Hentcote w „*Fortnightly Review*", moc kosztowało „*Revue de deux monde*", dalej Henri Hertz (żyd), Cezary Hirschband z Jellentów teraz znów ten Klingsland...

Kiedy społeczeństwo przygniatane ciężkim głazem podatków, obnażane przez sekwestracje do ostatnich koszul, wynędzniałe, spauperyzowane dowie się wreszcie, ile to kosztowała od maja r. 1926 ta nieustająca reklama?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dziennik „Głos Prawdy" (nr. 50) króciutko, drobnemi czcionkami, pod skromnym, dwuszpaltowym tytulikiem informuje o przygotowaniach do pogrzebu marszałka Focha, wrażeniu, jakie śmierć wodza armij sprzymierzonych wywarła w świecie itd. Na stronicy tejże samej, wyżej, w oczy rzuca się wielka czteroszpaltówka z dwiema ilustracjami: „Obchód imienin p. Marszałka Piłsudskiego w Paryżu". To widocznie było zdarzanie najważniejsze... Cały Paryż tak był tym obchodem imieniniowym przejęty, że wszystko inne minęło poprostu bez wrażenia..

*

Niesłychaną sensację wywołała w kraju deklaracja, wygłoszona w Sejmie przez posła stron. Narodowego prof. Winiarskiego, odmawiająca ministrowi spraw wewn. gen. Składkowskiemu funduszu dyspozycyjnego, który rzekomo był mu potrzebny „na walkę z akcją wywrotową i szpiegostwem". Jaka to była walka, wyjaśnia odczytany przez posła okólnik wojewody pomorskiego, wydany na podstawie reskryptu ministra z 26 listopada 1928 r. Dowiadujemy się z tego dokumentu, że p. minister zarządził spis wszystkich w kraju polskich działaczy politycznych i społecznych w celu utrzymywania nad nimi dozoru policyjnego. W tym celu władze administracyjne prowadzą trójstopniowe kartoteki w specjalnych szafkach drewnianych, gdzie każdy wybitniejszy obywatel, pragnący zdziałać coś dla kraju, ma być opisany i według tego śledzony. Fakty tutaj ujawnione odsłoniły kulminacyjny punkt sanacyjnych ambicyj wychowawczych. A tyle się mówiło o wychodkach! Społeczeństwo ani wiedziało, że praca sanitarna sięga tak wysoko: do serc i do głów patrjotycznych obywateli polskich.

*

Na co potrzebna jest „ewidencja" polskich działaczy politycznych i społecznych, przez rząd wprowadzona, na to dajemy drobny przykład. W r. 1928 odmówiono redaktorowi „Myśli Narodowej" bezpłatnego biletu kolejowego, z którego według zwyczaju korzystają redaktorowie i dziennikarze. Odmowa ministerjum kolei umotywowana była protestem ze strony ministerjum spraw wewnętrznych. Zajrzano do kartoteki i pewno okazało się, że redaktor ten należy do Obozu Wielkiej Polski, który pragnie dla Polski mocarstwowego stanowiska, że 40 lat jest pisarzem wszechpolskim, że podczas wojny działał przeciwko państwom centralnym, że prowadził procesy z agenturami obcemi, że za to napiętnowano go wykreśleniem z listy orderowej itp. Oczywiście nie ma prawa korzystania z przywileju dziennikarskiego, nawet gdy chodzi o wyjazd na kurację.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 37. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM